

**Wykwintna  
Czekolada Deserowa**  
**Electa**  
**Bracia Hlowieccy**  
WARSZAWA - KPOLEWSKA 27 - NOWY-ŚWIAT 63

ROK  
XXIII

# ŚWIAT

№  
6

WARSZAWA, DNIA 11-go LUTEGO 1928 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

**MAPA AFRYKI** Romera i Janiszewskiego  
podkł. na płótnie z wałkami  
Cena zł. 50 — Poleca  
**Księgarnia KSIĄŻNICY-ATLASU**  
Warszawa, Nowy Świat 59  
Katalog kartograficzny na żądanie



KRAJOWE. NAJLEPSZE  
**MYDŁO DO GOLENIA**

WYROBU

Lab. Chem. Farm. Apteki

**M. MALINOWSKIEGO**

Nowy-Świat 31, Warszawa, Chmielna 4

**CZEKOLADA MLECZNA**  
**WEDLA**  
O WYBITNYM SMAKU MLEKA

Cała elegancka Warszawa  
spotyka się tylko

**W CAFE****GASTRONOMJA****NOWY-ŚWIAT 16**

róg Alei 8-go Maja

gdzie w górnych  
salonach kon-  
certują zwykłe  
orkiestry zagra-  
niczne, w dolnych  
zaś salonach po-  
chlebnie znana  
orkiestra pod dy-

rekcją popularne-  
go kapelmistrza  
J. Czarneckiego.

Ceny przystępne.  
Usługa szybka.  
Lokal otwarty  
do 4-ej rano.

## „LE ROI”

— Dziś dopiero miałem to ciepłe  
wrażenie, że się skończyła wojna...

Moja towarzysząca spojrzała  
na mnie podejrzliwie, nie wiedząc  
dobrze, czy to oświadczenie mogło  
się jej dotyczyć i być potraktowa-  
ne jako komplement.

Spotkaliśmy się w tym rekordo-  
wym ścisiku, ozapaszonym rybą  
zupą, jaki trwa niemal stale na  
dole u Prunier w barku, jednej z  
wyjątkowych instytucji nadse-  
kwańskich, odwiedzanych szczer-  
nie przez cudzoziemców, więc i przez  
warszawianki, a w której się spoty-  
ka również prawdziwych Paryżan.  
Zastałem ją na wysokim stolku, ły-  
kającą pośpiesznie ostrygi, między  
dwoma magazynami, i przez grze-  
czność nie przypominałem jej, żeś-  
my się ostatni raz widzieli w roku  
takim to a takim, w Paryżu...

— Dlaczegoż — odpowiedziała  
wreszcie, pokazując prawdziwe zę-  
by — czyżby dzisiaj zabrzękały zno-  
wu dawne ludwiki?...

— Nie, proszę pani, to nie to...

A jednak pomyślałem sobie, że  
warszawianki przedziwnie się kon-  
serwują; jest to jedna z najmil-  
szych niespodzianek natknięcie się  
na takiego przelotnego ptaka, któ-  
ry opierzywszy się odpowiednio w  
Paryżu, poszybuję na jasny brzeg...

— Pan nic nie mówi — zaśmiała  
się pani Irena — czuję jednak,  
że odchodzi pan od tematu...

— To prawda — tu się brzydko  
zemściłem — myślę, iż pani „kon-  
solacja”, że użyję tej zamierzchłej,  
przedwojennej, mieszczańskiej gwa-  
ry, musi już być na wydaniu... Nie  
— dodałem po chwili, nawiązując —  
nie, proszę pani, niema wciąż nadal  
tych ciężkich sympatycznych pa-

stylek, które się wydłubywało nad  
ranem z kieszonki od kamizelki, pa-  
mięta pani, w Pré Catelau, zdo-  
iwszy uprzednio niepewną ręką  
kózkę o złożonych rogach i obej-  
rzawszy z balkonu świt nad stawem  
bulońskim... Niestety, rozmowa na-  
sza pstrzy się nadal takimi barba-  
ryzmami, jak stabilizacja, freudyzm,  
rewaloryzacja i parytet....

— Czy się pan przypadkiem nie  
starzeje, panie Henryku?... Za  
chwilę zacznie pan gderać przeciw-  
ko sukienkom po kolana...

— Nie w pani towarzystwie...

— Widzę, że ten paryski dowcip  
jest mocno przereklamowany. Kor-  
nel w tem miejscu zdobyłby się na  
coś mniej banalnego... A więc zac-  
nie pan mruczeć przeciwko krótkim  
włosom, przeciwko różowej, mono-  
tonnej melancholji cielistych poń-  
czoch, przeciwko Black-bottonowi...

— Bynajmniej. Tylko, widzi pa-  
ni, w Warszawie i w Paryżu ta  
sprawa przedstawia się zgoła ina-  
czej. U nas w Warszawie nieładnie  
jest wspominać o dawnych do-  
brych czasach... To pachnie jakąś  
mdłą nostalgią do rewirowego, do  
monopolki, do bezpodatkowego pa-  
sibrzustwa... Tu natomiast wszel-  
kie wspomnienia są rzewne... I dla-  
tego, jak się tylko pani upora z tą  
gruszką, pójdziemy razem na ulicę  
krzyzczeć radośnie, do rozpuku:  
niech żyje król!... Gdyż proszę pa-  
ni, przyjechał do Paryża król....!

— Cóż w tem takiego niezwy-  
kłego i przedwojennego? Wszak  
bywali chyba w Paryżu po wojnie  
królowie rozmaici: angielski, belgijski,  
włoski, hiszpański, rumuński...

— Ależ proszę pani, to wszystko  
nie byli prawdziwi królowie... Do



każdego z nich dodawano jakiś przymiotnik: angielski, belgijski. A ten to jest taki dawny król, król i basta!.... Gdyby mistrz mój i przyjaciel, markiz Robert de Flers, nie odszedł przedwcześnie, cieszyłby się dziś, jak dziecko. To jego król dziś przyjechał, ten stary kompan, który przez tysiąc wieczorów nie schodził z afisza...

„Prawdziwy król, proszę pani, paryski król, nadający się do republikańskich igraszek, powinien panować nad krajem mało znanym, diabli wiedzą gdzie położonym, nad jakąś Penomboją, Lodomerją, Hydrofilją... I nazywać się powinien przedziwnie: Esturżon, Kofetua, Muszarobes... Wtedy dopiero jest prawdziwa radość na mieście.

„Dawniej nawet bodaj jakiś król czarnogórski mógł z powodzeniem odegrać tę powabną i tajemniczą rolę. Podczas wojny, niestety, Paryżanie nauczyli się geografii, śledząc na mapie przesuwanie się wielu frontów. Dzisiaj, ogólnej zabawy gwoździ, trzeba czegoś bardziej hermetycznego...

— Jak się nazywa pański monarcha?

— Amanullah...! Na jego cześć dzisiaj wypukano sto i jeden pocisków armatnich, zmobilizowano konnicę, piechotę, orkiestry, sztandary i prezydenta Republiki...

— Gdzież on panuje?... Gdyż przyznam się, że od trzech dni nie czytałam gazet...

— Nad Afganistanem, podobno... Ale o to się nikt nie troszczy, zaledwie kilku erudytych... Ci niedyskretnie ujawnili, że Amanullah, by osiąść na tronie, zamknął dwóch swych braci i dwóch stryjów w lochu, dając im jako jedyny pokarm większą ilość szczurów...

— Oczywiście, szczury zjadły braci i stryjów?

— Zgadła pani, ale że rzecz się stała w Kabulu, o którym nikt nigdy nie słyszał, historia ta tylko dodaje Amanullahowi uroku... Dokąd pani teraz zdąża?

— Na pola Elizejskie... Mam przymiarkę i już jestem spóźniona...

— Doskonale. Wobec tego pójdziemy piechotą. W Paryżu, gdy się naprawdę spieszę, idę piechotą. Inne środki lokomocji trwają zbyt długo...

Pod błękitnym niebem, przy wiosennej atmosferze i w dziarskich humorach dotarliśmy do ulicy Rivoli, ale tam zatrzymał nas tłum, zwarty jak szczotka do zębów. Po drugiej stronie chodnik był również zagwożdżony, ospalerowując opustoszałą jezdnię, czarną i wyświechtaną, jak rękawy biurokraty. Po tej

asfaltowej pustyni hasały gorączkowo eurytmiczne figurki oficerów policyjnych...

— Moja przymiarka... załkała pani Irena...

— Trudno — rzekłem — z racji Amanullaha niechże i pani sobie przyzna godzinkę urlopu... Zmieszajmy się z tłumem... Czy myśli pani, że tym ludziom się nie spieszy?... Ta panna z pudłem, ten młody telegrafista, ten rejent i również ów inkasent w pierogu spóźnią się o godzinę... \*

— Ależ oni sobie z tego nic nie robią... Śmieją się, lulki palą...

— Świetny przykład. Trzeba umieć uszanować monarchę... Nawet autobus czyli stworzenie ociężałe i bezduszne, to zrozumiał i skreślił z drogi, by ominąć szlak tryumfalny...

— Proszę mnie przepuścić — chichotała, łaskotana niedyskretnie po drodze, jakaś wdzięczna osobka — mam tu używany bukiet fiołków, chcę mu go rzucić *à travers la gueule* (czyli po polsku, proszę mi wybaczyć: prosto w mordę).

— W kogo chcesz rzucić kwiatkiem, belle gosse? — spytał się ochryple dżentelman w czerwonym fularze z kawałkiem wczorajszego papierosa, przylepionego na stałe do dolnej wargi. — W Gastonneta? W Dudusia?

— *Il est marteau c'te bille de clown* — odparła godnie panienska, chroniąc oburącz swą arriergardę od natrętnych uszczypnięć — ja bym się tam trudziła dla Merguedou, dla prezydenta... Puśćcie mnie, łebczy, w króla chcę trafić...

Rejent, o białych faworytach w stylu Ludwika Filipa, najwidoczniej czuł się obrażony; wyciągnął

## GOŚĆ Z KOWNA



Prof. M. Birzyska, litewski literat i prezes komitetu odzyskania Wilna, przyjechał do Polski w celu zorientowania się w nastrojach i nawiązania kontaktu z naszymi uniwersytetami F. J. Ryś

zegarek i rzekł uroczyście, doniosło:

— Mesdames, Messieurs... ten wałkoń się spóźnia...

Na to hasło zatupotały rytmicznie obcasy o beton. W takt piosenki „Lampionów” zaczęto wykrzykiwać miarowo:

— A - ma - nu - llach - a ma - nu - llach. — Wkrótce od placu Concorde do Ratusza, trzykilometrowym pasmem, popłynęła tupa na piosenka.

Przesunął się, jak wielka precyzyjna zabawka dla tłumu dużych dzieci, szwadron konnej gwardji, błysnął w słońcu złotymi hełmami, pożegnał się wypolerowanymi zadami, kunsztownie zgrzeblanymi na szachownicę. Piosenka trwała dalej i tylko śmiech jej zawtórował życzliwy, gdy zakołysał się powitalnie, nad otwartym samochodem prezydenci cylinder... Obok siedział król, prawdziwy paryski król, umundurowany i wyorderowany, oczarowany owacją, salutujący bez przerwy...

Powoli szedł korowód samochodów.

— Vive Surraya...! — krzyknął ktoś... Tłum powtarzał „Surraya”, nie wiedząc dobrze, o co chodzi... Koło nas sypały się uwagi: „Ależ on ma ładną babę!” — „Wygląda, jak Paryżanka, niema już na świecie dzikich kobiet...” „Po co ją przywiózł?... Nie wolno mu będzie złożyć wizyty prezesowi senatu”.

— Dlaczego? — zdziwiła się pani Irena...

— Protokół dyplomatyczny, proszę pani, przewiduje wizytę u prezesa Senatu, ale jest to eufemizm... Prezes senatu godzi się na tę smętną rolę przyzwoitki, pokrywającej królewskie fraszki... Od dawien dawna król, w przewidzianym czasie, zamiast zgrzybiałego siwobrodacza, odwiedza zaciszne domy, gdzie koi troski władzy w gronie blondynek, brunetek, czerwonołosych... Zdarzają się i murzynki.

— Amanullah...! Vive le roi!... Surraya...!

— Prawdziwy karnawał — zaśmiała się pani Irena...

— I to w przedwojennym stylu. Czy sądzi pani, że ktokolwiek tu myśli obecnie o nadchodzących wyborach, o drożyznie. Powiem pani prawdę: to rząd, rząd republikański sprowadził sobie króla, to z królem, jak by nie było, czujemy się rażniej... Na ulicach jest weselej...

— A więc niech żyje król! — zgodziła się z namaszczeniem pani Irena.

Henryk Korab-Kucharski  
Paryż, w styczniu



# Z WYSTAW POZNAŃSKICH

SALON WIELKOPOLSKIEGO ZW. ARTYSTÓW-PLASTYKÓW: PROF. BRONISŁAW BARTEL

Stosunkowo słabą wystawę krakowskiego cechu artystów-malarzy „Jednoróg”, wystawiającego w ubiegłym miesiącu w Poznaniu po raz pierwszy, ratuje w opinii zwiedzających Prof. Bronisław Bartel wspaniałą wystawą zbiorową. Prof. Michał Sobieski w książeczce swej o malarstwie doby ostatniej\*) pisze, że — „by dosłyszeć szepł wewnętrzny przedmiotów, musi malarz stać się w pewnej mierze dzieckiem. Musi umieć patrzeć, jak dziecko. Musi zapomnieć, czego się nauczył, przejść rozwój wsteczny. Od bezpośredniego zmysłowego widzenia barwności i gry światła na powierzchni, którego nauczył dopiero impresjonizm, musi się cofnąć hen wstecz, aż do czysto abstrakcyjnego widzenia dziecka\*\*).

Ten rozwój wsteczny przechodził Prof. Bartel w szukaniu własnego gościńca twórczości. Powiedziałbym nawet, że szukanie owej drogi przyniosło artyście dużo korzyści natury moralnej. Malowany techniką naturalistyczną „jarmark”, poprzez cudny à la Wyspiański uchwycony szkic „Wojtusia”, a dalej „żniwiarze” i „myśl” w konstrukcji futurystycznej — to pierwsze szukania własnego oblicza. Nastąpił etap drugi: portret. Bartel zrozumiał koncepcję zasadniczą — że przezeń odtworzony model musi być szczery, t. zn. musi być na płótnie to wszystko, co charakteryzuje jego (modela!) indywidualność. Kolorystycznie są to obrazy jasne, utrzymane w tonie pogodnym. Takim pozostał w portrecie i zda się, że nadal nie wyłamie się z tych szranków twórczości.

Trzeci okres rozwoju artysty, to prymityw, pełen dziecinnej naiwności, pełen szczerości, pogody — wesela. Wysiłek to ostatnich prac przygotowawczych na pokaz w całokształcie wystawy zbiorowej. Technika malowideł, zdobiących niekiedy budy jarmarczne, wzniecająca właśnie dzięki swej naturalnej i niewymuszonej prymitywności zachwył każdego dziecka i każdego, kto umie jeszcze patrzeć, jak dziecko — znalazła w Prof. Bartlu najweselszego entuzjastę. Czy to będzie „dziewczynka z psem”, czy „śpiący chłopczyk”, czy wkońcu „uliczni muzykanci”. Prof. Bartel dąży świadomie w prostocie budowy swych ostatnich prac do zupełnej harmonizacji zarówno kolorystycznej, jak i kompozycyjnej. Konstruktywizm ten, ujęty w piękne ramy tematu, to kres ostateczny poszukiwacza-artysty, to cel, po trudnych zmaganiach się, w odnalezieniu własnego oblicza artystycznego.

Prof. Bartel jest członkiem Wielkopolskiego Związku Artystów-Plastyków. Wystawia w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Łodzi i Bydgoszczy. Obecna wystawa zbiorowa w salonie zwiazk. przedstawia się bardzo ciekawie, a to ze względu na różnorodność faz w rozwoju talentu artysty.

Poznań.

H. Majkowski.

\*) „Malarstwo Doby Ostatniej”. Poznań, 1926: Fiszer i Majewski.

\*\*) Strona 14-ta.



Wydrwigrosze

Fot. Ulatowski, Poznań

Br. Bartel



Kosiarze

Br. Bartel



# Wacław Grubiński: „Człowiek z klarnetem”

Powiedział kiedyś Grubiński, że książka, której nie mamy ochoty przeczytać po raz drugi — wogóle nie warta była czytania. I mógł to napisać z całą śmiałością, ponieważ sam jest autorem książek, do których trzeba wracać. A wraca się do nich nie po to, by raz jeszcze przelecieć wzrokiem kartki, by powtórnie rozwiązać węzeł „intrygi” albo pochłonąć interesującą „fabułę”, ale żeby je nanowo przemyśleć i przedyskutować. Z sobą i z autorem. Pisałem przed laty o Grubińskim, że według niego bezmyślność jest grzechem śmiertelnym, za który w jego konfesjonale nie dostaje się rozgrzeszenia. Dlatego bohaterowie nowel i komedji Grubińskiego we wszelkich sercowych i zmysłowych konfliktach apelują do swej najwyższej instancji — jaką jest mózg. A posiadają go wszyscy — nawet te często przez niego przedstawiane z pozoru lalkowate typy wielkoświatowych dam stanowią dziwną odmianę lalek o mądrych głowach.

Doskonały djalektyk, autor „Człowieka z klarnetem”, lubuje się w formie dialogu, formie bardzo trudnej, bo wymagającej nieustannej zmiany stanowiska i to nie tylko djalektycznej, ale wewnętrznej i stylowej. Forma ta przytem zmusza autora do niesłychanie bacznej kontroli, bo żadna inna nie „zdradza” go nam tak dokładnie i nie odkrywa całego przebiegu jego myśli i rozumowań, zanim doszło do ostatecznej konkluzji. Ale ma dialog dla piszącego szczególne i rzadkie powaby: oto usuwając (po-  
zornie!) autora w cień, ułatwia czytelnikowi intymny z nim stosunek, przemocą, niejako, wciąga go do dyskusji i do współpracy myślowej.

I w ostatniej książce Grubińskiego mamy trzy dialogi. Przedewszystkiem „Kremowe róże”. Gdybym był uczonym badaczem literatury, Grubiński „pokryty był pyłem wieków” — doszedłbym pewnie do wniosku, że utwór ten, zakończony subtelną i prześliczną pointą, napisany został w tym samym okresie twórczym, co „Niewinna grzesznica”. Jest to jakby jeden z warjantów tego świetnie skonstruowanego kwartetu — wzbogacający listanę zwycięstw pani Zuzy o hołd Nieznanego, którego bezosobowość jest dla niej symbolem miłości, jakkolwiek takiej.

Złośliwie obszedł się Grubiński z kobietami w „Mojej żonie”, tym groteskowo zakończonym dialogu na bardzo poważny temat. Na dnie tej rozmowy dwóch przyjaciół kryje się dalszy etap walki z fałszywym tonem w życiu, sztuce, miłości, przekonaniach i upodobaniach. Jest to walka, toczona przez Grubińskiego oddawna, na polu twórczym i krytycznym, walka nieubłagana i w konsekwencjach krytycznych doprowadzana czasem do zimnego okrucieństwa.

W „Mężczyźnie czterdziestoletnim”, który jest wesołą, maskaradową apologią tego pięknego wieku męskiego i to apologią wygłoszoną przez kobietę — Grubiński każe swej bohaterce twierdzić, że woli



Wacław Grubiński

ona akrobatykę myśli od akrobatyki mięśni, woli teatr od cyrku i t. p. Trzeba pewnej dozy optymizmu i odwagi, żeby to napisać w tym bokserkim i lekkoatletycznym czasie...

„Ona”, „Naparstek” i „Ogień” stanowią znowu inny cykl. Poruszone tu zagadnienia duszy ludzkiej należą do rzędu najbardziej intymnych i najtrudniej uchwytanych. Jakże głęboko ujęta jest rozpaczliwa walka z minionym czasem, straszne pierwsze odczucie nienaprawialności krzywdy małego chłopczyka w „Naparstku”. „Zobaczycie, że ludzie odkrywają kiedyś Boga” — woła szesnastoletnia Nineczka („Ona”), oszołomiona wielkością twórczą ludzkiego intelektu. Bezdennie smutny „Ogień” stawia wobec zagadki życia starca. Razem z zagadką — przychodzi mu na myśl jej rozwiązanie: tylko ogień — tylko to, co jest między

popiołem a dymem, stanowi istotę życia. Jedyne jego sens. Zapóźno...

W mroki „drugiej świadomości” prowadzi nas „Człowiek z klarnetem”. Stajemy wobec zagadnienia ważności i prawa do istnienia obu tych świadomości. Wprawdzie przemoc, stojąca w obronie koniecznego porządku, przemoc w postaci kaftana bezpieczeństwa, kończy te dziwne „wakacje” warjata — ale rozmowa obłąkanego klarnecisty z księdzem nasuwa poważne wątpliwości, czy po jednej z obu stron może być cała racja.

Śliczna w swej prostocie, dziwnie urocza jest „Księga żywota”. Jest to utwór „pisany sercem”, jak się utarło mówić. Może nie najwyższej cenie, nie najgłębiej szanuję ten utwór z ostatniego tomu Grubińskiego, to w każdym razie najwięcej go lubię. Tom kończy „Grzeszny chłopczyk”. Kajcio jest intelektualną odmianą „swawolnego Dyzia” z „Bezdomnych”. Do okrucieństwa doprowadzony swą prawdomównością, psuje zakłamanie życia swego starszego otoczenia. A tak biedacy wygodnie się urządzili!

Jasną, odważną, prawdziwą książkę napisał Grubiński. O precyzyjności jego języka, który ma w sobie jakąś wprost zegarmistrzowską dokładność, wspominać już chyba nie trzeba. Znają ten język w Polsce wszyscy tak liczni wielbiciele tego niepospolitego talentu. Dziwny człowiek — nie lubi kłamać. Niema w jego utworach żarliwej walki o prawdę — on poprostu zrozumiał tego niedorzeczność i jako rzecz niepotrzebną odrzucił. Dlatego może tak świetnie zna kłamców i tak bezlitośnie ich odkrywa...

Nowele Grubińskiego wydała firma Gebethner i Wolff. Te żółte książki, tak starannie drukowane, pozbawione zbytecznej dekoracyjności i wolne od graficznych dziwactw, stanowią najbardziej celowy typ wydawnictw: są to książki do czytania. Cóż ja zrobię, że nie mogę się pogodzić ze zdaniem pewnej dziennikarki, która rozwodzi się nad „dekoracyjnym elementem książki w urządzeniu pokoju”. Pokój wolę ozdabiać czem innym — a książki czytać.

Wiktor Popławski







*Rewizja ubrań przed śledztwem — w nadziei, że uda się znaleźć jakiś szryft. Medaliki nie cieszą się sympatią; gdy znajdą na kimś — jest to duża poszlaka*



*Badanie schwytanego na zielonej granicy „agenta Anglii“*



**P**rawidłowy wymiar sprawiedliwości jest nieodzownym warunkiem normalnego rozwoju państwa. Gdy sprawiedliwość zaczyna kuleć, w państwie dzieje się źle: na wewnątrz — bezład i samowola, na zewnątrz — zła opinia, budząca nieufność. Z tego powodu na wszelkie braki i niedomogi sądownictwa należy zwracać czujną uwagę, tak jak lekarz, badający chorego, przedewszystkiem sprawdza, czy serce dobrze działa.

Powiedzmy zatem otwarcie: przewlekłość procesów cywilnych staje się w Polsce coraz dotkliwszym niedomaganiem naszego wymiaru sprawiedliwości. Obywatel, mający za sobą najbardziej niezaprzeczoną słuszość, zmuszony jest wyczekiwać nieprawdopodobnie długo na wyrok; zwłoka egzekucji wywołuje niemożliwość odzyskania strat.

Czy wiecie, że obecnie, w dziesiątym roku istnienia sądownictwa polskiego, Sąd Okręgowy w Warszawie wyznacza najbliższe terminy sprawy na czerwiec. Za parę tygodni terminy te będą przesunięte na czas poferijny, t. j. na miesiące jesienne. Zaś w każdej sprawie uzyskiwać trzeba nie jeden, ale szereg kolejnych posiedzeń.

Nadmiar spraw i wadliwa procedura skłaniają sędziów do ciągłego odraczania spraw. Wystarcza, aby pozwany zażądał wezwania jeszcze jednego nowego świadka. Powtórzyć może ten figiel kilka razy. I już najprostszy proces przeciąga się na parę lat! Najbliższa sprawa o eksmisję z mieszkania wskutek niepłacenia komornego, zanim ją zakończy prawomocny wyrok, przechodzi nie przez dwie (jak to przewiduje procedura), ale przez cztery instancje. Bo, aby uchronić się przed zarzutem, iż żądane komorne jest nadmierne, — zarzutem, który nawet w toku procesu stanowi skuteczną obronę, — trzeba rozpocząć proces od uzyskania w Urzędzie Rozjemczym oszacowania lokalu i ustalenia podstawowego komornego. Potem następuje odwołanie się nieplacącego lokatora do Sądu Okręgowego, i dopiero wtedy dochodzi do właściwej sprawy sądowej o zaległe komorne i eksmisję. Oczywiście, przez ten czas zaległość powiększa się znacznie, najczęściej przerasta możliwość płatniczą pozwanego.

Być może, że w ten sposób państwo chce obrzydzić obywatelom

pieniactwo — popiera jednak równocześnie nieuczciwość i szwindel. Jakież to gorzkie wymówki słyszy się z tego powodu z ust cudzoziemców, którzy zwracają się do sądów polskich o obronę!

Jakaż rada?

Budżet Ministerstwa Sprawiedliwości należy powiększyć, liczbę sędziów powiększyć, sprawność sądów ulepszyć. Nie da się to jednak osiągnąć bez porzucenia chińskiej formalistyki. Należałoby znieść dwie instancje w drobnych, codziennych sprawach, należałoby podnieść kompetencje Urzędu Rozjemczego, — trzeba uprościć procedurę tak, jak wymaga tego życie. Bo pamiętajmy: sprawiedliwość, wymierzana tak przewlekłe, przestaje być wogóle sprawiedliwością, a nader często staje się wprost — krzywdą.

**F**rancuski minister oświaty, b. prezes rady ministrów, p. Edward Herriot dał się uprosić jednemu z dzienników paryskich i wypowiedział swoją opinię o znaczeniu kinematografji.

— „Moja idea? Francja powinna zdobyć się na wytwórczość filmową takiego znaczenia, jakie posiadły w całym świecie nauka francuska i teatr francuski.

Cóż potrzeba, aby zrealizować ten program? Mamy autorów, aktorów, przedsiębiorców, gmachy, publiczność inteligentną i wrażliwą.

Pomóżcie mi skojarzyć te czynniki, a nasza ekspansja intelektualna wzrośnie jeszcze bardziej. Jednocześnie zyskamy dla naszego szkolnictwa organ niezmierniej wagi i pożytku.

Tak oceniają znaczenie kinematografji — we Francji. A u nas? U nas zapoznaje się zupełnie kulturalne, społeczne i polityczne znaczenie polskiej wytwórczości filmowej. Nie masz dla niej ani opieki, ani pomocy, ani kontroli. W oczach nazbyt wielu dygnitarzy państwowych i samorządowych kinematograf jest w dalszym ciągu szpelnką bardzo podejrzanej wartości.

W jednej tylko Warszawie w miesiącu grudniu przez tę „szpelnkę” przeszło z górą milion ludzi...

**T**owarzystwo Szerzenia Sztuki Polskiej wśród obcych ogłosiło sprawozdanie z działalności za pierwszy rok istnienia. Sprawozdanie to, ujęte w ładną broszurę trzech arkuszy druku, świadczy o niespożytej energii kierowników tej instytucji, a więc w pierwszym rzędzie dyr. Mieczysława Tretera, wicedyrektora, dr. Guttrego i prezesa Rady Nadzorczej, p. Józefa Targowskiego. Energja ich musiała walczyć ciągle z brakiem środków. Bo choć w M. S. Z. nie brak ludzi, rozumiejących skuteczność tych wysiłków, i p. minister Zaleski nie szczędzi Towarzystwu poparcia, to jednak propaganda nasza nie ma dotąd własnej pozycji w budżecie (jak to już dzieje się prawie wszędzie na Zachodzie), a prócz tego, wydatki na propagandę nie są scentralizowane, różne wydziały M. S. Z. na własną rękę udzielają zapomóg.

Jest już teraz możność uporządkowania propagandy. Należy z tej okazji skorzystać! Bo jeśli Tow. Szerzenia Sztuki Polskiej wśród Obcych nie uzyska warunków, umożliwiających dalszy rozwój działalności, z natury rzeczy pocznie chłamać, może stać się nawet komórką martwą, od której wszystko, co żywe, wkońcu się usunie.

Byłaby to szkoda niepowetowana.

**K**onserwatyści nasi ocknęli się z drzemki, organizują się, stają do walki wyborczej. W naszych kołach zachowawczych tkwią poważne zasoby kultury, doświadczenia, tradycji. Są to duże wartości, z którymi liczyć się muszą nawet zwolennicy haseł postępowych i radykalnych. Największym niebezpieczeństwem dla programu konserwatywnego są ludzie, o których Lessing jeszcze mówił:

— Gdyby istnieli, kiedy Pan Bóg dobywał świat z chaosu, błagaliby Go, żeby nie pomagał rewolucji, — żeby nie naruszał spokojnego status quo...

**S**karżyliśmy się niedawno na a-normalne zmniejszenie się ruchu wydawniczego. Ostatni rok przyniósł pod tym względem zmianę. Ruch wydawniczy szybko wzrasta. Obawiam się nawet, że rychło utyskiwania nasze pójdą w odwrotnym kierunku... Potop tandety, która zalewa obecnie półki mniejszych zwłaszcza księgarni, nie ma nic wspólnego z rozwojem kultury. Przeważnie tłumaczenia, a raczej



występki i zbrodnie przeciw składni polskiej. Albo „dzieła” o tak fascynujących tytułach, jak „Gdy będziesz kurtyzana” p. Dekobry, podręcznik bardzo starannie udokumentowany, — jak „Życie miłosne Poli Negri” (St. J. Kozłowski, hr. Dąb-  
ski, Charlie Chaplin, Nita Naldi,

Rod la Rocque, Rudolf Valentino, ks. Midivani)“... Takich to nieod-  
wrotnych dla naszej kultury wydaw-  
nictw pozbawiał nas dotąd prze-  
ściowy zastój w księgarstwie!...  
„Ruszyło się”, — i oto mamy...

skrz.

## Raptularzyk wyborczy

### AMATORZY MANDATÓW

Człowieka, przypatrującego się zbliska akcji przewyborczej, ogar-  
nia formalne osłupienie:

— Cemu się ludziska tak pcha-  
ją do tego Sejmu? Sponiewierano  
go ostatnio okrutnie — i jako in-  
stytucję, pozbawioną wszelkiego  
znaczenia, i jako jej członków, na-  
zwanych „szujami”. Być posłem —  
to zaiste w tej chwili splendor  
niewielki.

Profitu też niema. Jedynie kmiot-  
kowie pozarabiali na posłowaniu:  
podróż mieli do Warszawy bezpłat-  
ną — pierwszą klasą; mieszkanie w  
domu noclegowym przy Sejmie,  
zwanym szumnie „hotelem posel-  
skim” — zabezpieczone; na życie przez  
te kilka dni w roku, jakie poświęca-  
li wysiadywaniu ław poselskich,  
nie wydawali nic prawie, bo przy-  
wozili produkty wiejskie w kobia-  
łeczce; do roboty prawodawczej  
nie przykładali się, gdyż nic z niej  
nie rozumieli i z większym dla spo-  
łeczeństwa pożytkiem roztrząsali  
gnój na polu, niż zagadnienia finan-  
sowe; a co miesiąc tysiąc złotych  
wpadało do kieszeni. To też bez  
żadnej grandy, w uczciwy sposób  
można było odłożyć je do kasy i za  
kilkadziesiąt tysięcy uciulanych  
przez pięć lat niezgorszą nabyć  
parcele.

Ale panowie inteligenci inaczej  
na mandacie wychodzili: za miesz-  
kanie w Warszawie, choćby jedno-  
pokojowe, musieli słono płacić; za  
bufet w Sejmie — jeszcze drożej;  
praca w komisjach, w klubie, w  
partji, czasem w bibliotece — nie  
pozwalala im oddawać się innym  
zajęciom, a diety pobierali takie sa-  
me, jak koledzy-włóścianie. Po  
potrąceniu z nich stałej składki na  
klub, „dobrowolnych” składek od  
pana-posła na wszelkiego rodzaju  
pożyteczne instytucje w jego okrę-  
gu, niezbędnych ofiar na dorywcze  
imprezy i szlachetne przedsięwzię-  
cia — pozostała zaledwie połowa.  
A tu co rusz przyjeżdżają wybor-  
cy z okręgu: jednego przenocuj,  
innego ugość w domu, jeszcze in-  
nego zaproś do restauracji albo za-

prowadź do teatru, a już z reguły  
każdemu pożycz na powrotną dro-  
gę, bo Warszawa strasznie kosztow-  
na, więc mu zabrakło kilkunastu  
złotych, które „przy okazji” z  
wdzięcznością zwróci.

A mimo to pchają się do Sejmu  
wszystkimi trzydziestoma pięcio-  
ma listami państwowymi i, licząc  
skromnie po 20 list na okręg, tysią-  
cem dwustu osiemdziesięcioma li-  
stami okręgowymi. Daje to kilkana-  
ście tysięcy amatorów mandatu.  
Cała armja kandydatów; słusznie  
też, że ma wielu wśród siebie ge-  
nerałów i oficerów służby czynnej  
i rezerwy.

Ten pęd żywiołowy ku parla-  
mentowi nie da się wytłumaczyć  
pobudkami materialnymi. Działa tu  
niepohamowane poczucie swego po-  
słannictwa. Wielkie dzieło ma każ-  
dy do spełnienia, więc bez należy-  
tego przygotowania, bez względu  
na koszt wyboru i fatywę agitacji,  
na zrujnowanie dotychczasowego  
bytu — idzie spełnić święty obo-  
wiązek wobec narodu i ojczyzny —  
kandyduje.

A im słabsza partja, im mniej  
znana firma listy wyborczej — tem  
większy ogień wewnętrzny trawi o-  
fiarnika. Oto p. Chodacki Piotr z  
gminy Krzywiczki, powiatu chełm-  
skiego, zgłosił listę podpisaną przez  
60 gospodarzy swej wsi, w której  
domaga się wybrania go na posła.  
Jeden z sąsiadów, Jan Mazurek, po-

lecając Chodeckiego, zrobił przypie-  
sek, że chciałby „zostać zastępcą  
pana posła ze skromniejszym wy-  
nagrodzeniem.”

Gmina Godów, pow. puławskie-  
go, wysunęła aż dwie zwalczające  
się listy. Jedna ma na pierwszym  
miejscu p. Stefana Czerwińskiego  
z folwarku Skoków, o którym  
mówi, że jest „miłujący prawdę i  
sprawiedliwość”, „dobry i prowa-  
dzenia moralnego”. Czyż nie wyjąt-  
kowe kwalifikacje na posła? Peł-  
nomocnikiem tej listy jest sekre-  
tarz gminy, p. Ignacy Bajtyngier.  
Ale jego pomocnik, p. Jan Nowak,  
złożył inną listę, z Wawrzyńcem  
Częścikiem na czele, którego pole-  
ca, jako „sumiennego i uczciwego”,  
czego dowodem jest, że „nie nale-  
ży do żadnego stronnictwa polity-  
cznego”. To też gdy będzie wybra-  
ny — „z pewnością przysłuży się  
ojczyźnie”.

Takich pocziwych kandydatów  
zgłoszono w każdym okręgu po kil-  
ku. Nawet podwarszawskie Płudy,  
wraz z Choszczówką i „całą okolicą  
Jabłonny”, mają własną listę. Nie  
są to kandydatury wysuwane w  
chwili przypływu dobrego humoru  
i pod hasłem walki ze „świętecz-  
nym suchym reżymem” w Polsce,  
lecz z całą powagą i poczuciem  
swego interesu odrębnego lub swe-  
go wyjątkowego posłannictwa. Po-  
cóż zresztą objawów tych szukać  
na zapadłej prowincji — w Godo-  
wie czy Krzywiczkach, kiedy ma-  
my je w stolicy.

Pisma codzienne doniosły, że  
tworzy się lista „wysłużonych pod-  
oficerów artylerji zenitowej dolnej  
części przedmieścia Ochoty”. I w  
tej nazwie doskonale odbija się ten-  
dencja wyborów proporcjonalnych.  
A podręczniki prawa konstytucyj-  
nego mówią, że głosowanie z list  
przeciwdziała rozproszkowaniu spo-  
łeczeństwa!

wg.

ESEM — MARYNARZ

### NIE WYNAJĘTE JACHTY

Z wydętymi żaglami, z dzióbem utkwionym w płasku  
rwą się na wietrze,  
jak kapturzone sokoly, na krótkim trzymane pasku,  
nim wzlecają w przestrzeń.

Szamoczą się, łopoczą, wściekle młotając sterem,  
szarpią lin końce,  
zerwą się zaraz z uwięzi, rzucają się dziko za żerem  
na krwawy łup — słońce.



## Przeżycia wojenne w najnowszej naszej beletrystyce

(„Zielona Kadra” J. Kossowskiego, „Zatrute Źródło” T. Brudzewskiego i „Honorni Orawiaci” Fer. Machay’a)

Przeżycia wojenne w najnowszej naszej beletrystyce nie milkną. Ku zadowoleniu należy stwierdzić, iż nawet osiągają artystycznie coraz ponętniejszy wyraz. Z wyróżnieniem trzeba powitać pakowny tom opowiadań p. Jerzego Kossowskiego p. t. „Zielona Kadra”, będący owocem wrażeń z lat wielkiej wojny. Autor przez książkę tę złożył świadectwo dużym swoim zdolnościom narracyjnym. Umie on barwnie, żywo uplastycznąć tak ludzi, przyrodę, jak i łączyć ich w węzeł zajmującej, palpitującej fabuły. Nie bawi się w zbyteczną frazeologję. Szerokimi, jasnymi linjami rysuje wizję artystyczną. Jest w tem rozmach i konstrukcyjność równocześnie. Wrażenie osiąga zawsze zamierzone i mocne.

Zapewne wiele w tych opowiadaniach należy zapisać na bezpośredniość wojennej obserwacji. Nie wszyscy jednak potrafili wyzyskać tę umiejętność patrzenia na rzeczy bliskie a tak ekspresyjne. P. Jerzy Kossowski jest pod tym względem wyjątkiem. Jego „Zielona Kadra” winna stać się fundamentem płodnej działalności pisarskiej. Stosunkowo najmocniejsze wrażenie wywiera opowiadanie p. t. „Kawerna Nr. 7”. Tragizm, napięcie i przezwyciężenie groźnego widma nieuniknionej śmierci udało się autorowi wydobyć środkami najprostszymi: przez umiętny wybór tematu. Kolejność wydarzeń niezwykłych a na wojnie może codziennych sprawia, że ekspresja opowiadania rośnie do potęgi koszmaru. Literat nie potrzebuje konstruować wydarzeń, by osiągnąć grozę i ukończyć czytelnika radosną nowiną ocalenia swoich bohaterów. Nie jednostka jest centralną postacią opowiadania, lecz zespół. Na froncie włosko - austriackim żołnierze austriaccy, lecz polacy, podczas bombardowania ich pozycji schronili się do ślepego korytarza, wydrążonego w górze. W podobnej kawernie przed kilku dniami zasypała ziemia kilkudziesięciu towarzyszy broni. P. Kossowski pokazał takich zasypanych, odciętych od świata żołnierzy i z nadzwyczajną plastyką odmalował samoułudę, kłamstwo, tragizm ich sytuacji. Odratowano ich i to czy-

ni na czytelniku nie mniejsze wrażenie, pogłębia perspektywę ich bezimiennego bohaterstwa.

Świetną również jest czołowa nowela p. t. „Zielona Kadra”. Opowiada ona zmienne koleje losu żołnierza - górala Jana Węglarza z nad Dunajca. Zdegradowany ten kaprał uciekł od trenów i znalazł się w towarzystwie bandy dezertów. Banda ta skryła się w lasach Wschodnich Karpat. Schodziła ona na łupy. Grabiła przeważnie (austriackie treny).

W towarzystwie tem Węglarz czuł się niezłe. Na udrękę sprowadził sobie dziewczynę do lesnej kryjówki. To go poróżniło z kompanją. Poszedł dalej w drogę z wybranką swojego serca. Dobrnął szczęśliwie do jakiegoś węgierskiego zamku, prawie opuszczonego. Traf chciał, że i tu znalazł rywala. Węglarz, jako honorny góral, ustrzeżił domniemanego rywala, dziewczynę i starego służącego. Co zrobić później? Postanowił wrócić do „Zielonej Kadry”...

P. Jerzy Kossowski bohaterów swoich maluje obiektywnie, spokojnie. Nawet dla włoskiego ofiarne czynu posiada sentyment, choć, jak wiadomo, jego obserwacje dotyczą innej strony okopów. Miła jest jego opowieść p. t. „Giacomo Bicarani”. Można ją śmiało przełożyć na włoski. Czytelnik z Wenecji, Medjolanu, Rzymu wzruszy się tą nowelą nie mniej, niż czytelnik polski.

„Zieloną Kadre”, tom nowel p. Jerzego Kossowskiego, należy uważać za najudatniejszy debiut beletrystyczny w bieżącym sezonie.

Wielkiej wojny dotyczy też powieść p. T. Brudzewskiego p. t. „Zatrute źródło”. Autor chciał pokazać, jak deprymujący wpływ w sensie społecznym wywarły wydarzenia wojenne na inteligencję. Powieść opowiada dzieje muzycznej, ślicznej dziewczyny Terecki, która kończy swoje artystyczne aspiracje w biurze bankowem. Nie jest to ostatecznie źle. Ile przeżyła ona niewygód, wyrzeczeń, dolegliwości? Wojna zastała ją w Małopolsce. Front ruchomy zburzył ich dostatek, spokój, możliwość pracy umysłowej. Terecka musiała szorować, pracować, robić

wszystkie grube prace rączkami, co miały wyczarowywać melodie Beethovena.

Gdy wróci do Warszawy i odnajdzie ojca, nieprędko psychika jej wejdzie w normalną kolej życia. Warszawa inflacyjna stanie się jej obca, a obyczaje nie przyswajają jej przemęczonej duszy.

Autor tę powieść o Teresce wyposażył ładnymi opisami przyrody. Jest ona prawdziwa w swojej tendencji literackiej i jako próba odzwierciedlenia wpływu, jaki wywarła wojna na ludzi pewnej warstwy społecznej, zasługuje na uwagę.

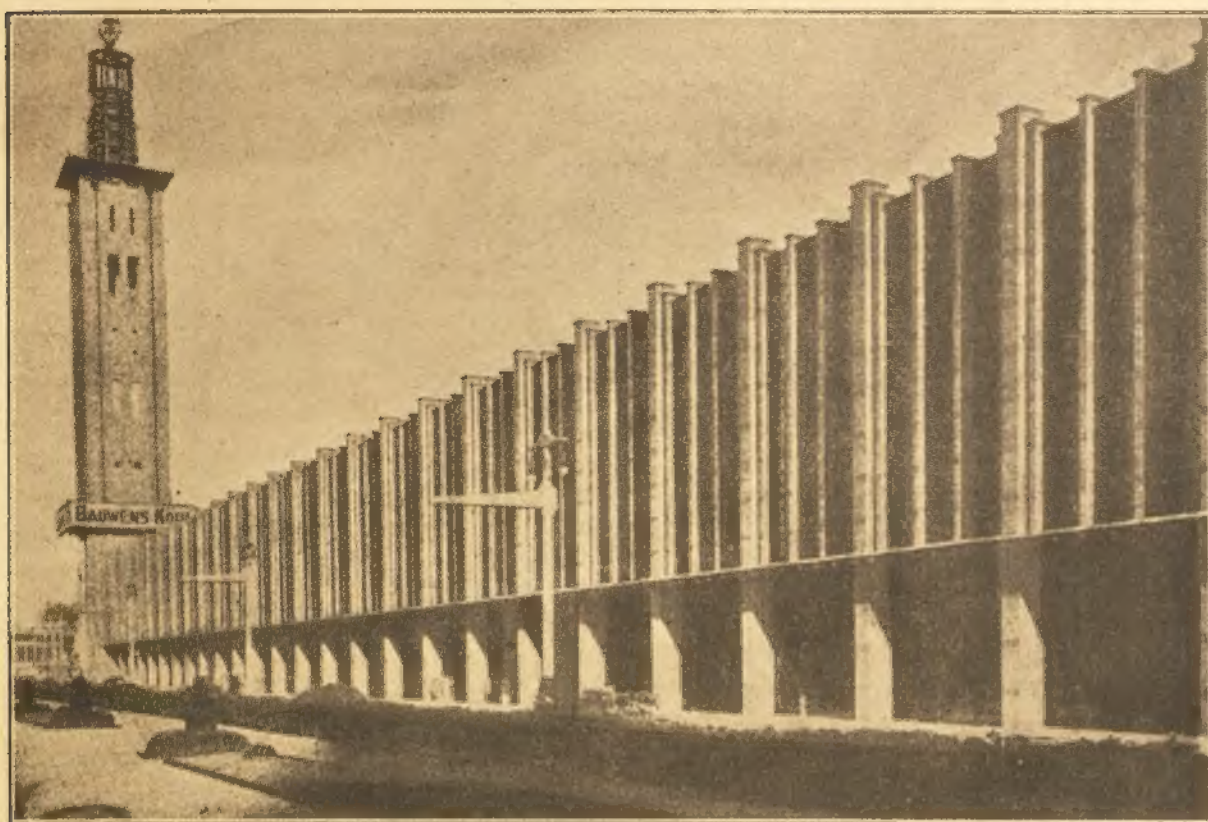
Dużą przyjemność sprawi wiadomość miłośnikom regionalizmu, iż ks. Ferdynand Machay, znany obrońca Spisza i Orawy, wydał powieść p. t. „Honorni Orawiaci”. I w tej książce wojna posłużyła za temat do zbudowania narracji. Chodzi jednak o walkę między honornymi chłopami orawskimi a byle jakim szlachetką—co się zaplątał pod Babią Górą i choć Judeusz, chce zadawać fasonu wraz z całą swoją parantelą. Opowiadanie ta jest wesoła i charakterystyczna niezmiernie dla życia wsi orawskiej. Czyta się łatwo i z dużą satysfakcją. Ks. Ferd. Machay wykazał, że potrafi nietylko jeździć do Paryża, by orędownąć przed Wilsonem w sprawie swoich sąsiadów, kumotów, krajanów. I piórem umie gładko szermować. Powieść jego będzie bardzo pożądanym nabytkiem dla bibliotek ludowych. Uśmieje się każdy nad niedolą żonatego kawalera, który musi długo czekać, aż żonka zjawi się w jego progach. Jako typ bardzo malownicza jest diadówka.

Wogóle w opowieści ks. Machay’a świetnie uwydatnia się koloryt lokalny. Wieść orawska z pod Babiej Góry jest dla autora nie ciekawostką literacką, lecz bliską sercu i miłą dla oka rodzinną kolebką. Jego regionalizm ma wszystkie cechy sympatycznej postawy obserwacyjnej. Rzecz tę należy specjalnie podkreślić, gdyż w ostatnich czasach wielu snobów i literatów sztucznie i nieszczerze stawia sobie za cel artystycznych usiłowań: regionalizowanie.

Wszystkie te książki beletrystyczne warte są jaknajszerszego rozpowszechnienia. Jako lektura, przynoszą karm zdrowy, społecznie i artystycznie pożądany.

Eustachy Czekalski





Hala wystawowa z wieżą 80-metrową, przeznaczona na standy dla prasy międzynarodowej

## Pani Babetta, hrabina de Normont

Wierną być niewiernemu, to jeszcze nie nadzwyczajność, ale wierna pozostać swemu małżonkowi w takich okolicznościach, w jakich wierna pozostała pani Babetta, de domo Leverd, mężowi swemu, hrabiemu Karolowi de Normont — to zaiste zdarzenie niezwykle. Człowiek ten miał kochanek bez liku, co też nie jest nadzwyczajnością, ale kochanki te były specjalnie zaangażowane, aby życie zatruty młodej, 16-letniej jego małżonki. Więc pokojówki rzucały jej garnkami w głowę, kucharki sypały arszenik do buljonu, a wszystkie razem inscenizowały napady bandyckie i rozmaite okropności, celem doprowadzenia niedoświadczonej pani Babetty do pomieszania zmysłów. Na błagania pani Babetty, aby hrabia odprawił te jędze, odpowiadał on wzruszeniem ramion, lub... pocałunkami, względnie życzeniem, aby przeprosiła niewinnie posadzanę. Mimo tego wszystkiego, po 10 latach słodkiego małżeńskiego pożycia pisze p. Babette następujące słowa do hrabiego: „po tylu dniach tak ciężkich i bolesnych nie przestanę twoją opuszczoną żoną kochać do ostatniego tchnienia Tego, który jej u stóp ołtarza zaprzysiągł miłość dożywotnią”. Dożywotność jest, wiadomo, perfidną legendą, a miłość miewa formy rozmaite.

Historja była taka. W Avesnes znajdowała się oberża, prowadzona przez imćpana Leverd. Tak w całej oberży, jak też i licznej, liczącej 13 dzieci rodzinie oberżysty zajmującą była tylko urodziwa jego 17-letnia córka, Franciszka. Przejeżdżający przez Avesnes wdowiec, hr. de Normont, 45-letni lowelas, umiał ocenić te wdzięki i po niezbyt usilnych namowach porwał Franciszkę i osadził ją na swoim zamku. Franciszka, mimo lat młodych, była stateczna, skromna, mądra i taktowna, to też postanowił stary magnat uczynić ją małżonką legalną i dać w niej macochę swoim dzieciom, z których właśnie Karol, najstarszy, kończył lat 6. Najniespodziewaniej Franciszka odmówiła. Uważała za niewłaściwe, aby hr. de Normont zasmarowywał piękne swoje godło szlacheckie emblematami oberżystki. Ta wielkoduszność wzruszyła magnata, wprowadził ją w świat i tak dalece potrafił ją towarzystwu narzucić, że była przyjmowana w arystokracji, mimo niewyraźnej swojej sytuacji, jaknajuprzejmiej. Gdy hrabia umarł, zapewniwszy jej ładną rentę, otoczył ją najtroskliwszą opieką jego syna Karola. Później, znacznie później, niedyskretne annale sądowe podały w wątpliwość, czy aby troskliwość „macierzyńska” nie miała podłoża mniej....

macierzyńskiego — ale o tem potem. Franciszka Leverd, której anagram brzmiał obecnie Dervel, a która przybrała w końcu nazwisko de Mellertz, aby zatrzeć za sobą ślady w czasie rewolucji — odrzucała wszelkie utylitarne — osobiste kwestje. Była bezinteresowna. Wszystko ciułała dla hrabiowskiego potomka, a jeśli tu i ówdzie duże dobra, lasy, czy kapitały na swoje nazwisko przepisywała, to, jak ogólnie mniemano, czyniła jedynie, aby fortunę „pasierba” uratować pod pokrywką swego gminnego nazwiska. Tak też i uratowała wszystko z odmetów rewolucji i cicha idylla, która przetrwała burzę polityczną, byłaby się snuła dalej, gdyby nie... burza sercowa. Hrabia Karol zakochał się nagle. I w kim? W rodzonej bratanicy pani Mellertz, w Babecie Leverd. Dziewczyna była śliczna, ale zgola nieokrzesana i nieodpowiadająca wysokim aspiracjom pani de Mellertz. Ta ostatnia szalała więc z rozpaczy. Związki krwi nic jej nie obchodziły, marzyła o prześwietnym marjażu dla pasierba, który choć był pasierbem cokolwiek z lewej ręki, niemniej był jej bliższy i droższy od Babetty. Nie dało się nic uczynić. Hrabia de Normont poślubił Babetę, liczącą lat 16 i od tej chwili zaczęły się dziwy. Pani de Mellertz miała pouczyć młodą hrabinę o salonowych formach i zwyczajach arystokracji. Czyniła to jednak w dziwnej formie, zamykała bowiem panią Babetę w kuchni, dawała jej obcować tylko ze służbą, sadzała ją na szarym końcu, kiedy byli goście, nie wpuszczała do salonu, młodego (45-letniego) żonkosia, osobiście rozbierała do snu i ubierała rankiem, a kto chciał i nie chciał, musiał wysłuchiwać, że pani Babetta zdradza chorobę umysłową i że miewa halucynacje. W przewodach sądowych dowodziła później pani Babetta, że robiono z niej rozmyślnie warjatkę, chcąc doprowadzić do rozwodu hrabiego, że przyjęto dwie służące, z których jedna struła jej dziecko, a jej samej dosypywały arszeniku do zupy, a z których druga aranżowała napady bandyckie w nocy. Kneblowano wówczas pani Babecie usta, wlewano truciznę w gardło i t. p. Pani de Mellertz zaś ripostowała, że właśnie pani Babetta, chcąc się pozbyć ciotki, która stała na straży interesów ubóstwianego pasierba, próbowała ją otruć, a następnie próbowała sądom dowieść, że pani M. ją truła. Pani Babetta wyłożyła, jak na dłoni, że to ubóstwianie właśnie było przyczyną nieporozu-



mień, że naocznie się przekonała o temperaturze uczuć, łączących jej męża z jej ciotką etc. Służące, dryblasta Julia i posępna Weronika, kochanki hrabiego, rządziły się w domu, jak szare gęsi, tolerowane łaskawie przez panią de Mellertz. Nareszcie, kiedy miłe te służebne spowodowały poronienie drugiego dziecka pani Babetty, zażądała ona energicznie wydalenia pani Mellertz i służby z domu. Hrabia pozornie się zgodził, przerażony wmieszaniem się do sprawy teścia.

Nastąpiła doba czułości, gruchania, tête à tête'u. Po 10 latach zacieklej podjazdowej wojny czterech kobiet o serce nieurodzonego i niemłodego gentilhomme'a, zwyciężyła p. Babetta. Pławiła się w rozkoszy tryumfu. Nagle — hrabia, spotkawszy w podróży Julję i panią de Mellertz, zażądał ni stąd ni zowąd rozwodu. Nie pomogły ogniste, wynurzeń miłosnych pełne listy pani Babetty. Sprawa wytoczyła się na forum sądowe, bo pani Babetta na rozwód zgodzić się nie chciała. Paryż grzmiał od orędzi adwokackich. Było bowiem podówczas w zwyczaj bombardować publikę takimi enuncjacjami prawniczymi. Ulotki mnożyły się. Rozprawa sądowa pierwsza stała się tryumfem pani Babetty. W sali nabitej wykwiną publiką, z książkami krwi na czole, w obecności książąt pruskich, toczyła się sprawa. Wagi niezmiernej była notatka, znaleziona u nieprzyjaciół pani Babetty: Jette - le vis - à vis de la grande porte, bo

właśnie list z pogrozkami znalazł się u wrót głównych jej domu. Adwokat tymczasem wyszperał, że miało to być: Gillet vis à vis de la grande porte, bo taki Gillet ongiś tam mieszkał i notatka była tylko niewinnym, dawnym adresem. Jeden więc wróg pani Babetty został uniewinniony, ale, aby książęta krwi nie trudzili się nadaremno, aby choć jedna głowa spadła na cześć tak dostojnego zebrania, wbrew wszelkiej logice, wobec uwolnienia tamtego, skazano na śmierć dryblastą Julję. Moralnie więc pani Babetta wygrała na całej linii, bo skazanie Julji było bądź co bądź ciosem w serce ciotki de Mellertz. Nastąpiły apelacje — posiedzenia sądowe, nieudekorowane już książkami krwi, — wtedy ułaskawiono Julję i — tajemnicza sprawa pozostała na wieki nierozwiązana i niewyjaśniona, kto był trucicielem, a kto otrutym? Fakt faktem tylko, że w sądzie starała się pani Babetta wciąż zasłaniać niewdzięcznego małżonka i że aż do śmierci kochała go, samotnie mieszkając w Choisy. Do dziś stoi jej dom przy ulicy, zwanej obecnie rue de Verdun, tylko ogród, w którym rozgrywały się ongiś tragedje bandyckie, przestał istnieć. Zmarła pani Babetta, hrabina de Normont, w wieku 65 lat, 1850 roku, w dniu św. Józefa, patrona, jak wiadomo, przykładnych, chrześcijańskich sta- deł małżeńskich.

M. J. Wielopolska

## Wśród odmętu tłumaczonej beletrystyki

Mamy nadmiar tłumaczonej beletrystyki. Wytwarza to odmęt wartościowych i niepotrzebnych a nawet szkodliwych książek. Po co się rzuca na nasz rynek księgarski te masy niemądrej makulatury? Z powodzi tej da się wyłowić kilka ciekawszych utworów. Na pierwszym miejscu trzeba postawić dwutomową powieść J. Conrada-Korzeniowskiego p. t. „Zwycięstwo”. Tytuł ten nie usprawiedliwia wydarzeń, jakie się dzieją w tej powieści. Dla uczestników dramatu, mocno zadzierżgnętego przez Conrada, życie kończy się katastrofą. Nie oszczędził autor i biednej Leny. Smutna ta, tragiczna fabuła składa dowód dużym konstrukcyjnym zdolnościom Conrada. Nie jest to powieść, gdzie bieg wydarzeń posuwa akcję, jakgdyby niezależnie od autora. „Zwycięstwo” jest świadomą, przemyślaną, opracowaną konstrukcją. Fakt ten sprawia, iż powieść ta od połowy narracji gra na bardzo wyciągniętych strunach wrażliwości czytelnika. Egzotyczne tło jest tu tylko dekoracją. Chodzi o walkę między kilkoma ludźmi. Przypadek zrzucił, iż osobą powodującą ten splot dramatycznych wydarzeń jest biedna muzykantka Lena. Podobała się ona hotelarzowi Niemcowi, który liczył na re-

alizację swoich erotycznych zabiegów. Traf zdarzył, że spotkała dziwnego, dobrego człowieka Heysta i pojechała z nim dzielić dołę i niedołę na samotną wyspę. Wściekły hotelarz nastąpił na niego trzech bandytów. Otumanił ich wmówieniem, że Heyst posiada na wyspie majątek Morrisona. Treścią tej książki jest napięta walka uczciwego człowieka z trójką tych łajdaków o życie. Zatarł dla wszystkich jest tragiczny, żaden nie ujdzie z wyspy żywy.

Powieść ta interesuje nie tylko fabułą. Jest w niej wielkie bogactwo mądrych obserwacji, świetnych uogólnień życiowych. Niezwykłą galerję typów pokazał Conrad. Zastanawiają szczególnie Heyst i Jones. Są to przeciwległe krańce kultury: Dobroć i łajdactwo. Jones jest blisko spokrewniony z Płazą-Splawskim w „Dziejach Grzechu” St. Żeromskiego. Powieść tę troskliwie przyswoiła naszej mowie p. Aniela Zagórska.

Miłą niespodzianką dla polskiego czytelnika są nowele Stefana Zweiga p. t. „Pierwsze przeżycia”. Autor ten rozporządza szeroką skalą środków pisarskich. Z każdego zdania widać, iż mamy do czynienia z pisarzem o dużym zasobie kul-

tury. Tom wydanych po polsku nowel zawiera opowiadania, w których dzieci-podrostki wzięto za cel psychologicznych obserwacji. Świetną jest nowela p. t. „Guwernantka”. Zweig zwykłą sobie życiową sprawę umiał niezmiernie ożywić przez wpłcenie dwóch serduszek dziewczęcych, zdziwionych, że zabierają im dobrą „Guwernantkę”. I czemu? Całowała się z kuzynem. Rezultaty takich pocałunków znane są wszystkim. Zweig obudził współczucie dla nieostrożnej a zakochanej dziewczyny. Piękne jest też opowiadanie p. t. „Pałaca tajemnica”. W narracji tej syn ratuje matkę od przelotnego romansu. Zweig budowniczy w noweli tej wykazuje, jak fabuła powinna być powodowana pomysłem autora. Pisarz ten w Niemczech jest bardzo znany. Nie z najlepszej jednak strony: uchodzi za pacyfistę i przyjaciela... Romain Rollanda.

A teraz na chwilę udajmy się z Europy na Wschód. Znowu mamy możność podziwiać nędzę i upadek życia we współczesnej beletrystyce rosyjskiej. Tom nowel, zatytułowany „Z motyką na słońce”, a zawierający utwory takich autorów, jak P. Romanow, A. Bibik, A. Tołstoj, D. Swierczkow, Babel, W. Katajew, i Sergiusz Zajaicki. Zwolennicy komunizmu niech czempredzej przeczytają tę książkę. Jeżeli po ujrzeniu rzeczywistości rosyjskiej obecnej przez kwiat ich beletrystyki — dalej będą rozprawiać o dobrodziejstwach ustroju sowieckiego, to nic już ich nie uleczy. Krwawe i smutne jest życie ludzkie. Tak prymitywnie, ordynarnie, niechlujnie płynie rzeczywistość nawet nie wśród półdzikich kabo- klów! A dzieją się te opowiadania w lud- nych miastach, w bogatych wsiach ro- syjskich.

Ilja Erenburg namalował też niezgor- szą karykaturę życia w Moskwie teraz- niejszej. Powieść ta nosi tytuł „W prze- chodniej uliczce”. Książka ta jest mimo- wolnym aktem oskarżenia przeciw wła- dzom kremlńskim. Widzi się z niej, co zrobili z kwitnącej, bogatej Moskwy bol- szewicy. Jakaż tu nędza ciał i niechluj- stwo dusz! Jaki brak współczucia dla dzieci!

W całym zespole niema ani jednego człowieka uczciwego lub nieupadłego mo- ralnie. Dla złagodzenia obrazu p. Eren- burg wymyślił sobie jakiegoś idealnego, starszego bolszewika, który ożenił się z Tanią. Nie okupuje to całości przykre- go wrażenia.

Powieść ta jednak, jak nowele pisarzy rosyjskich, wśród odmętu tłumaczonych bzdurstw, wyróżnia się poważniejszym traktowaniem misji beletrystyki.

Zadużo się mimo to wydaje u nas be- letrystyki tłumaczonej, cudzoziemskiej. Warto, by związki nasze literackie zajęły się temi tłumaczeniami.

F.





# LALKI i LALECZKI

Historia obyczajowości nie pamięta takich czasów, w których by ludzie dorośli bawili się lalkami. Zaczęło się to dopiero w pierwszych latach wojny od niepozornego jakby zdarzenia, a w najbliższym czasie przeobraziło się w modę powszechną i nieustającą.

Lalka nowoczesna powstała wprawdzie w stolicy mody: w Paryżu — ale jest oryginalnym wynalazkiem polskim.

Pierwsze jej postacie skomponowali artyści polscy, których wojna odciała od kraju i zmusiła do poszukiwania doraźnych źródeł zarobku. Na świat wydała ją pani Łazarska, matką zaś chrzestną była pani Paderewska, dostarczając środków materialnych na założenie odpowiedniej pracowni.

Pierwsze „bajecznie kolorowe” Łowiczanki i Krakowianki bardzo się podobały. Rozchwytano je odrazu. Natychmiast znaleźli się naśladowcy, którzy ten pierwszy sukces lalki poczęli utrwalać i rozszerzać. Zrozumiano w lot, że jest to pomysł, który można eksploatować przez długi czas. Nowe lalki rzuciła na rynek paryski kolonia rosyjska, wyzyskując świetne kompozycje Baksta, oraz wprowadzając po raz pierwszy zalotne Colombiny i sentymentalnych Pierrotów. Z czasem pojawiły się lalki etnograficzne, francuskie, historyczne, stylowe i egzotyczne.

Pani Łazarska, która dotychczas utrzy-

muje w Paryżu wysoki autorytet artystyczny, poczęła również produkować lalki dziecinne.

Z początku nie miały one powodzenia. Dzieci objawiły nieugięty konserwatyzm. Przez długi czas lalka miękka, artystyczna musiała walczyć z szablonowymi wyrobami fabrycznymi, które jednak dla dziecka były „lalką prawdziwą”. W końcu jednak filuterna kukielka o zdziwionych oczach i naiwnej buzi, z nieco niezgrabnymi nóżkami i rączkami, zdobyła serce i wyobraźnię dziecka.

Lalka celuloidowa ma tylko jedną nad nią wyższość. A mianowicie umie otwierać i zamykać oczy.

Lalki paryskie to dzisiaj przemysł bardzo poważny, nieraz na wielką zakrojony skalę. Wspecjalizowało się w ich wyrobie wiele pracowni. Całe zastępy artystów tworzą nowe pomysły. W poszukiwaniu za jakimś nieznanym jeszcze efektem przetrząsa się stare książki, sztychy, drzeworyty i ilustracje. Obok produkcji masowej istnieje dostosowana do najbardziej wykwintnych wymagań. Cena niektórych lalek, zwłaszcza przeznaczonych na eksport amerykański, dochodzi do kilku i kilkunastu tysięcy franków.

Te zabawki znudzonych miliarderek są małymi arcydziełami sztuki plastycznej, a wskutek ścisłości kostiumu i wyrazu twarzy posiadają nieraz wartość muzealną.

Lalka stała się dzisiaj sprzętem ulubionym, niemal nieodzownym. Rozpanoszyła się w salonie i buduarze, uśmiecha się w pracowni uczonego, chodzi na dancingi i bale, jest piękną dekoracją rozmaitych zacisznych zakamarków, odgrywa rolę maskoty w samochodzie, towarzyszy wreszcie w najbardziej awanturniczych wyprawach wszelakim nowoczesnym zdobywcom przestrzeni.

Przytem zmienia często swoją postać, podlega bowiem, jak każda moda, kaprysom przelotnym, nieobliczalnym i wielce zaraźliwym. Te nagłe epidemie wybuchają z niepohamowaną siłą.

W ostatnich czasach naprzykład zaplanował wszechwładnie jakiś żarliwy kult dla... psów. Dwa lata temu nie było w Londynie szanującego się obywatela, który by nie posiadał pociesznego białoczarowego wyżełka z obwisłymi uszami. Obecnie nowym bóstwem takiej sezonowej mody jest mops o zabawnie wykrzywionej mordzie. Czasami wypływają na powierzchnię i inne zwierzęta. Kiedy po przelocie Lindbergha przez Atlantyk okazało się, że ten zuchwalec posiadał jako talizman małego pingwina, cały Paryż począł nosić taką właśnie laleczkę.

Pozatem jednak istnieją pewne upodobania stałe.

Można śmiało stwierdzić, że rekord powodzenia niezachwianego zdobyły dwie lalki: markiza w białej peruce i olbrzy-

miej krynolinie (właściwie: rogówce), oraz Pierrot z łąką wiszącą u oka. Jasne jest, że pierwszą lalkę upodobał sobie współczesny mężczyzna a drugą współczesna kobieta. Jest to objaw bardzo charakterystyczny. Wyraża się w ten sposób, jakby wzajemne niezadowolenie płci. Pan tęskni do wyrafinowanej, pełnej subtelności wdzięku kobiety z XVIII wieku, a pani kocha się w sentymentalnym, przeczulonym Pierrocie.

Podobno istnieją także kobiety, które zabierają ze sobą do łóżka dzikich Indian, ognistych Meksykańczyków albo murzynów o czerwonych wargach i niesamowitem spojrzeniu.

Ale ostatecznie takie upodobania łatwo przemienić w rzeczywistość.

Pani, która rozstrzyga to zagadnienie w sposób symboliczny, rozumie zwykle inaczej.

Gdzieś przecież trzeba umieścić to, co się miłością nazywa. Mąż? Nie, ten nudny sprzęt domowy nie zasługuje nawet na jedno drgnienie serca!

Kochanek? Zaspakaja zmysły, ale nie daje żadnej stawy dla roztęsknionej duszy.

Dzieci? Wloką za sobą zbyt wiele kłopotów i trudów. Najlepiej nie mieć ich wcale, a jeśli są, niech się nimi zajmuje kto inny.

Cóż więc zostaje dla biednej, spragnionej miłości duszy kobiecej?

Nic więcej, jak właśnie ten wyblady Pierrociś o melancholijnej twarzyczce. Ileż wdzięku jest w jego żalostnie zwisającym, wiotkiem ciałku! Ileż niezwykłych posiada zalet? Można mu wyszeptać wszelkie szaleństwo, można mu powierzyć najstraszliwszą tajemnicę — nigdy nic nie zdradzi, nie wyda, nigdy brutalnym słowem nie zrani tkliwego serca. I zawsze patrzy ta kćudnie, tak smutno...

Tak wygląda ideał kobiety współczesnej, ideał, który narodził się pośrednio ze znamienitych powieści Mniszkówny i cikliwych romansów Wertyńskiego.

Skoro zaś spotkać go w życiu nie można, nie pozostaje nic innego, jak pójść do sklepu i kupić sobie laleczkę...

*Sł. Dz.*



Najulubieńsza lalka: „Pierrot”,  
z firmy M-me Henriette

Fot. J. Malarski



Lalka stylowa, popularnie zwana „mar-  
kiza”, z firmy M-me Henriette

Fot. J. Malarski



# Powrót do grzechu i powrót do cnoty

Natura człowiecza jest ułomna, słodki grzech bardziej jej smakuje, niż kwaśna cnota; z tego powodu mocno się obawiam, że świetnie grana w teatrze Małym nowa sztuka Kiedrzyńskiego będzie miała o sto przedstawień więcej, niż wybornie grana w teatrze Letnim sztuka p. Beli Szenes'a. Bo węgierski autor daje dzisiejszym pannom lekcję nie różowania sobie ust, nie à-la-garsonowania sobie łepetynki, nie wycelowywania się po kątach z pierwszym lepszym dancinowcem, a polski komedjopisarz pokazuje nam fałszywy krok, popełniony z miłości przez pannę z dobrego domu i upór tej panny, uratowanej przez poczciwego starszego pana, upór jej miłosny, grzeszny, pomysłnie jednak zakończony, bo miłość zwycięża wszystkie przeszkody, wszystkie przesady, nawet głupotę mężczyzny, uważającego, że głupotą jest się żenić z ukochaną dziewczyną, gdy się nie ma pieniędzy.

P. Bela Szenes ma słuszość: nonszalanckie panny powojenne, zdjawszy z siebie fiszbinowy gorset, zdjęły wraz z nim nieostrośnie i osobistą godność (niewszystkie, niewszystkie!), poczem ubrały się w nieustowny kostjum bezceremonjalnej poufałości z całym światem, co uważają za pikanterję i „nowoczesność”. Nie zauważyły, biedaczki, że ten kostjum, zanadto wycięty z przodu, z tyłu i z każdej strony, bawi mężczyzn, uchodzi w ich oczach za nadzwyczajnie wygodny, ale że jednocześnie zbliża-

## JUBILEUSZ PRACY ARTYSTYCZNEJ



P. Helena Czarnecka, zasłużona artystka scen polskich, obchodzi w dn. 11. b. m. jubileusz 30-letniej pracy scenicznej. Grać będzie tytułową rolę w sztuce Zapolskiej pt. „Moralność Pani Dulskiej”

„Rubens” W. Czarnecki, Poznań

jąc wszystkie kobiety do wszystkich mężczyzn, oddała mężczyznę od kobiety. W ukarminowanych ustach takiej „wyzwolonej” kobiety okrzyk: „Ja chcę żyć!” znaczy: „Ja się nie chcę do niczego zobowiązywać!” Taki krzyk duszy niewieściej wywołuje takie samiusieńkie echo w duszy męskiej, a rezultat: że krzyżując się nieustannie na wielkich drogach życia, ocierając się wzajem o siebie, żyjąc razem, mężczyzna i kobieta żyje osobno. Czyli, że przez swoją „dumną” postawę życiową, przez swoje władcze uroszczenia życiowe, przez swoje pragnienie napicia się życia



St. Kiedrzyński

aż do ostateczności, kobieta powojenna, bezprzesadna, śmiała i zaborcza osiąga: samotność. Wyciągając zuchwale ramiona po cały świat, po wszystkie namiętności, przycisnęła do serca: czczość. W sztuce p. t. „Nie ożenię się” p. Bela Szenes dowodzi tej prawdy cokolwiek za prosto, mając zapewne na oku bardzo „uoroszczoną” publiczność powojenną. Niemniej jednak daje aktorom nie jedną, lecz kilka ról popisowych. Skorzystała z tego najznakomiciej p. Ola Leszczyńska i, po przydługim nieco, a niczem nie usprawiedliwionym wycieczku, zagrała główną postać w „Nie ożenię się” z tą siłą artystycznego wyrazu, i z tą swobodą, jaka cechuje talenty już dojrzałe w umiejętność. Nikt inny na scenach warszawskich nie potrafiłby z taką prawdą i z tak estetyczną złośliwością, — powiedzmy, z dowcipem — inkarnować rozpuszczoną jedynaczkę, biorącą dosłownie i poważnie tani (filozoficznie) a kosztowny (walutowo) epikureizm powojennych Trymalchjonów, jak to zrobiła p. Leszczyńska. Przemiłego partnera miała w p. Różyckim,

którego jednak za wiele jest w teatrze Letnim ze szkodą teatru Narodowego.

A „Powrót do grzechu” w teatrze Małym to nowy tryumf polskości autora. Dyrektorowie naszych teatrów i kierownicy repertuaru w obecnym sezonie przekonali się jeszcze dobitniej, że „Aby żyć” bez subwencji, aby mieć pełną kasę, trzeba wystawiać sztuki polskie. Tajemnicą tego „Konja trojańskiego”, który się nazywa repertuarem, jest „Lekarz miłości”, „Pan Damazy”, „Fura słomy”, „Moralność pani Dulskiej”, „Farys”, „Uśmiech losu”, „Głuszek”, „Grube ryby” — no i, oczywiście, Szekspir, który wszędzie jest u siebie. W „Powrocie do grzechu” Kiedrzyński stanął przed nami ze wszystkimi swoimi wielkimi zaletami, które zawsze gorąco okłaskujemy, i z niektórymi swymi małeńkimi przywarami, których się nie spostrzega w blasku zalet. Akt drugi zwłaszcza posiada scenę, która by rozbawiła z pewnością samego Moliera, i kto wie, czyby nie została przezeń zeskamotowana, jak to się przytrafiło dwom scenom Cyrana de Bergerac, komedjopisarza, znanego dziś głównie z utworu Rostanda, gdyby Molier mógł jeszcze bywać w teatrze, i gdyby przybył do Warszawy na zaproszenie Penclubu. Głównym bohaterem przedstawienia jest p. Aleksander W. gierko w otoczeniu tak świetnych artystów, jak pp. Malicka, Czaplińska, Stanisławska i Grabowski. Kuncewiczówna z dużym poczuciem typu zagrała prowincjonalną *amoureuse*’ę.

Wacław Grubiński

## 25-LECIE PRACY TEATRALNEJ



Franciszek Rychłowski, znany artysta dramatyczny, dyrektor teatru w Wilnie, obchodzi 25-lecie pracy teatralnej. P. Rychłowski, jako aktor charakterystyczno-dramatyczny, posiada w dorobku swoim dużą kolekcję ról tak w repertuarze polskim, jak i zagranicznym. Jubilat grać będzie rolę główną w sztuce B. Górczyńskiego p. t. „Konstytucja”



TEATR LETNI: „NIE OŻENIĘ SIĘ“, KOMEDJA BELI SZANES'A I TEATR MAŁY: „POWRÓT DO GRZECHU“, KOMEDJA  
W TRZECH AKTACH ST. KIEDRZYŃ-  
SKIEGO



Rola główna w wykonaniu p. Oli  
Leszczyńskiej. Akt II



Wykonawcy ról głównych: pp Grabowski, Malicka i Węgierko

Fot. Jan Malarski



P. Ola Leszczyńska w węgierskiej sztuce „Nie ożenię się“



P. Malicka w komedji Kiedrzyńskiego

Fot. Jan Malarski





Wykonawcy: Bonecki, Jakubińska, Woskowski, Winawer, Szubert, Krzemiński i Mroziński

## Z MUZYKI

Poselstwa obcych państw w Warszawie okazują coraz szersze zainteresowanie życiem artystycznym stolicy. W pierwszym rzędzie, — co jest rzeczą całkowicie zrozumiałą, — starają się wytworzyć ściślejszy kontakt pomiędzy artystami własnych barw narodowych a sferami znawców i melomanów Warszawy.

W związku z koncertami pianisty włoskiego, Carlo Zecchi, odbył się w salach poselstwa włoskiego rodzaj kameralnego popisu tego wirtuoza, na który zaproszono muzyków i miłośników gry fortepianowej.

Któreś z pism codziennych Warszawy nazwało p. Z. Zecchi'ego pierwszym

pianistą Włoch. Tytuł ten wydaje się nam nieuzasadnionym. Być może, jest p. Zecchi jednym z pierwszych wirtuozów włoskich, nie sądzimy jednak, by wysoka tradycja fortepianowa kraju Sgambattiego ograniczać się miała dziś wyłącznie prawie do wirtuozostwa, niejednokrotnie porywającego biegłością, lecz pozbawionego cech istotnego natchnienia.

W czasie popisów świetnego wirtuoza udało się nam słyszeć słowa podziwu ze strony naszych wirtuozów. Podziw słuszny, gdy mowa o technice. Nieuzasadniony, jeżeli chodzi o sztukę.

A wogóle pianiści nasi — milczą. Nie widać ich na estradzie. Wiadomo, że pedagogika fortepianowa opłaca się doskonale. Czyż więc nie mogą sobie pozwolić na zarezerwowanie czasu dla własnego treningu? Profesor, który nie gra publicznie, przestaje być dobrym profesorem z biegiem lat. zapomina bowiem z czasem o konieczności realizowania „teorii”....

W operze po poprawnym przedstawieniu „Uprowadzenia z Seraju” Mozarta fatalne przedstawienie „Walkirii” Wagnera. Mamy przecie tę „Walkirję” w repertuarze opery naszej już ze dwadzieścia lat. Mogliśmy zapamiętać tradycyjne wzory pierwszego wystawienia (Didur, Bandrowski, Ruszkowska). Parę lat temu wyprowadzaliśmy tę „Walkirję”, jako jedno z niezliczonych premier-wznowień. Czyż na to, by gwoździć propagowania kultu muzyki w szerokich masach rzecz szła coraz gorzej?

\*

Podobno w lutym odbyć się ma w Rzymie wielki propagandowy koncert muzyki polskiej. Na koncercie tym wykonana ma być III symfonia Szymanowskiego pod batutą Fitelberga, prof. Drze-

wiecki ma grać na fortepianie (zapewne koncert f. mol Chopin'a), a p. Szymanowska ma śpiewać pieśni.

Koncert bardzo ładnie zestawiony, o ile nas jednak pamięć nie myli, program ten, oraz tych samych wykonawców wystawiamy za granicą na koncercie muzyki polskiej po raz trzeci, czy czwarty. Zachodzi pytanie co do celowości tego rodzaju powtórek. Ostatecznie świat muzyków niebezpiecznie wyobrażać sobie zaczyna, iż w Polsce posiadamy jednego kompozytora, jedną śpiewaczkę i jednego pianistę. Rodzaj propagandowej ekipy! Gdy mowa o ekipie, stwierdzić należy, iż nawet wspaniała ekipa naszych jeźdźców ustawicznie zmienia się w swym składzie personalnym, co w kołach specjalistów robi świetne wrażenie.

■

Sprawa szkół muzycznych nie przestaje jątrzyć się w feljetonach prasy stołecznej. W konserwatorium zarządzono z ramienia czynników miarodajnych wizytację uczelni. Wizytacja ta jednak nie jest w związku z akcją prasową przeciw dyrektorowi Konserwatorium, lecz wypaść miała na ten czas zwykłym następstwem kolejności. Na łamach pism odpiera zarzuty w poszczególnych feljetonach dyrektor Konserwatorium K. Szymanowski.

Grono profesorów milczy. Podobno wydany został przez władze Konserwatorium okólnik, zabraniający profesorom brania udziału w dyskusji publicznej? Zarządzenie tego rodzaju, o ile było istotnie, nie wydaje się nam celowym. Profesorowie Konserwatorium są chyba dojrzałymi ludźmi, zakład muzyczny w przeciwieństwie do instytucji wojskowych nie kryje spraw, mających związek z tajemnicami państwowymi, po cóż więc cenzura i zakazy?

jkb.

## Z TEATRU LWOWSKIEGO



P. Irena Ładosiówna, wybitna młoda artystka dramatyczna miejskich teatrów w Łwowie. Do najlepszych jej ról w ostatnich czasach należały: Belza w „Świerszczu za kominem”, Weronika w „Turoni”, córka w „Sześciu postaciach scenicznych”

## Z OPERY W POZNANIU



Dorota Gutowska, młoda utalentowana sopranistka liryczno-koloraturowa, występami swymi na scenie teatru w Poznaniu zdobyła uznanie krytyki i publiczności





Książę Cziczibu, brat cesarza Japonii, następca tronu, zaręczył się z Księżniczką Tsuneo Matsudaira



Ks. Tsuneo Matsudaira, córka posła japońskiego w Waszyngtonie, naręczona Ks. Cziczibu

Zaręczyny odbyły się za specjalnem pozwoleniem Mikada Hirohito, gdyż księżniczka nie należy do rodów, z których w myśl tradycji biorą sobie żony członkowie domu panującego

## Między Wschodem a Zachodem...

Nasza wiedza o Japonii jest niezmiernie nikła. Znamy ten kraj raczej od strony beletrystyki. Wiadomości polityczne posiadamy również fantastyczne. Nie ulega wątpliwości tylko nasza sympatja dla dzielnej armii japońskiej, zwłaszcza za bohaterską postawę w wojnie z Rosją. Gdy chcieliśmy się dowiedzieć czegoś pożytecznego o tem państwie, musieliśmy sięgać do książek francuskich, niemieckich, angielskich. Po-polsku mamy tylko oryginalną beletrystykę. Wacław Sieroszewski kilkakrotnie osnawał swoje opowieści na tle wspomnień z Japonii.

Z dużą satysfakcją też bierzemy do ręki książkę p. Stefana Łubieńskiego p. t. „Między Wschodem a Zachodem”. Autor mieszkał w Japonii przez lat sześć. Miał wytwórną artystycznych dywanów, pracował w przedsiębiorstwie handlowem amerykańsko-japońskim.

Nauczył się prędko języka.

Chętnie wziął się też do nauczania polszczyzny japończyków, pragnących poznać naszą mowę. Jego współpracy zawdzięczamy przekład „Chłopów” na język japoński. Zadzierzgnął on nici sympatji ze sferami artystycznymi, literackimi, dziennikarskimi i naukowymi. Miał szerokie pole do obserwacji życia i poznania głównych czynników energii. Z tych materiałów po powrocie do ojczyzny skomponował książkę, która zadowolić może literata, artystę, filozofa, ekonomistę i polityka.

P. Stefan Łubieński, jak twierdzi powołany sędzia Wacław Sieroszewski, wykazał „głębką, niepowszednią znajomość” przedmiotu. Rozdziały o muzyce, teatrze, o handlu i polityce Japonii — są poprostu znakomite....

Opinię tę potwierdza całkowicie pozna-

nie tej książki. P. Łubieński daje nam zupełnie nowe informacje o krainie wschodzącego słońca. Wystarczy przeczytać choćby takie wiadomości, by zainteresować się jego książką:

„Dla przeciętnego Europejczyka, który wylądował w Yokohamie i objeżdża krainę kwitnących wiśni, wyda mu się ona, na pierwszy rzut oka, krajem dziwów i przeciwności. Wszystkie czynności życia codziennego odbywają się tam jakby w odwrotnym porządku, do tego, który jest dla nas przyrodzony. Domy budują się od dachu. Ludzie po kąpieli wycierają się mokrym ręcznikiem. W obliczeniach pisze się najpierw sumę, potem poszczególne liczby. Szyjąc, nie unosi się igły, ale porusza się falisto materją, trzymając nieruchomo igłę....”

Już te wyżej wyliczone fakty mówią, że organizacja życia japońskiego jest inna, niż nasza. P. St. Łubieński ukazuje nam wewnętrzne i zewnętrzne ostoje tej rozbudowy. Zaciekać one muszą każdego inteligentnego czytelnika. Burzy też autor popularną w Europie gadkę o domniemanej wojnie Stanów- Zjednoczonych i Japonii. Jest ona niemożliwością pod każdym względem. Japonia wybrała już dawno inną drogę. Jeden konflikt jest tylko możliwy: wojna z Rosją. Metody ekonomiczne i polityczne są identyczne przekonujące. Na drogach Mandżurji spotykają się interesy japońskie z rosyjskimi. Ekspansja bolszewicka nie folguje, mając podobne cele, jak i polityka carska.

Książka p. St. Łubieńskiego jest encyklopedją wiadomości, dotyczących Japonii. Winna się znaleźć w bibliotece każdego inteligentnego polaka.

N.

Rok obecny 1928 w porównaniu z rokiem ubiegłym 1927 przedstawia się dla nas (i dla całej Europy) mniej korzystnie pod względem widzialności zjawisk astronomicznych tak ciekawych, jakimi są bez wątpienia zaćmienia i przejścia planet dolnych (Merkury i Wenus) przed tarczą słońca.

W 1927 roku na 5 zaćmień (3 zaćmienia słońca i 2 księżycy) w Polsce widzialne było jedno częściowe zaćmienie słońca 29 czerwca i całkowite zaćmienie księżycy w dniu 8 grudnia. Poza tem widzialne było 10 listopada przejście planety Merkurego przed tarczą słońca. W roku obecnym 1928 na taką samą ilość zaćmień: 3 zaćmienia słońca i 2 księżycy tylko jedno będzie widzialne w Polsce, mianowicie częściowe zaćmienie słońca w dniu 12 listopada.

Zaćmienia na kuli ziemskiej w 1928 roku będą odbywały się w następującej kolejności: 1) całkowite zaćmienie słońca w dniu 19 maja. Zaćmienie to, jako całkowite, widzialne będzie w okolicach Oceanu Lodowatego Południowego, jako częściowe zaś na Południowej półkuli. Środek zaćmienia przypada 19 maja o godzinie 14 m. 0 czasu środkowo-europejskiego, 2) całkowite zaćmienie księżycy w dniu 3 czerwca, w Polsce niewidzialne. Środek zaćmienia przypada na godzinę 13 m. 9,4 czasu środkowo-europejskiego, 3) częściowe zaćmienie słońca w dniu 17 czerwca, w Polsce niewidzialne. Zaćmienie widzialne będzie w Północno-Zachodniej Syberji i w okolicach Nowej Ziemi. Największa faza zaćmienia wynosi 0,037 (średnica słońca równa się 1,0) i przypada 17 czerwca o godzinie 21 m. 27,0 czasu środkowo-europejskiego. 4) częściowe zaćmienie słońca w dniu 12 listopada, widzialne w Polsce. Zaćmienie to widzialne będzie prawie w całej Europie, oprócz Hiszpanji, w Północno-Wschodniej Afryce i w znacznej części Azji. Największa faza zaćmienia równa się 0,908. W Warszawie wielkość zaćmienia wynosi 0,42, a środek zaćmienia przypada na godzinę 9 m. 49. 5) całkowite zaćmienie księżycy dnia 27 listopada, w Polsce niewidzialne. Środek zaćmienia przypada na godzinę 10 m. 1,2 czasu środkowo-europejskiego.

Widzialność planet w 1928 roku przedstawia się w następujący sposób: w styczniu Wenus świeci nad ranem, Jowisz wieczorem i Saturn nad ranem. W lutym: Wenus świeci coraz krócej nad ranem, Jowisz coraz krócej wieczorem, Saturn coraz dłużej nad ranem. W marcu: Jowisz znika w końcu miesiąca, Saturn świeci w drugiej połowie nocy. W kwietniu: Saturn wschodzi przed północą. W maju: Merkury widzialny w końcu miesiąca na zachodzie, Saturn świeci przez całą noc. W czerwcu: Mars i Jowisz świecą po północy, Saturn świeci przez całą noc. W lipcu: Mars i Jowisz wschodzą przed północą, Saturn zachodzi po północy. W sierpniu: Mars wschodzi wieczorem, Jowisz jest widzialny przez całą noc, Saturn zachodzi przed północą. We wrześniu: Mars wschodzi wieczorem coraz wcześniej, Jowisz jest widzialny przez całą noc, Saturn zachodzi wczesnym wieczorem. W październiku: Mars wschodzi wieczorem, Jowisz świeci całą noc, Saturn zachodzi coraz wcześniej po zachodzie słońca. W listopadzie: Wenus ukazuje się po zachodzie słońca, Mars i Jowisz świecą prawie przez całą noc. W grudniu: Wenus świeci wieczorem na zachodzie, Mars świeci przez całą noc, Jowisz zachodzi w drugiej połowie nocy.

Prof. Aleksander Kochański



Najciekawszy film tygodnia: „Napoleon”.  
— Nowy film polski „Przeznaczenie”.  
— Filmy, które wkrótce ujrzymy.

Opinia warszawska z pewną rezerwą odniosła się do słynnego dzieła Abła Gance'a — „Napoleon”. Tłumaczy się to w pewnej mierze fragmentarycznością obrazu (miała to być pierwsza część kilkusekundowego filmu) — nie usprawiedliwia jednakże w niczym naszych kinomanów.

Zgoda na to, że daje się zauważyć w tym filmie pewna nierównowaga pomiędzy potraktowaniem i rozciągłością poszczególnych fragmentów z życia Napoleona, — że pewne momenty (analogie Napoleona z orłem i t. d.) nabierają charakteru nieco konwencjonalnej symboliki. Lecz, mimo wszystko, obraz ten jest owiany płomiennym oddechem gance'owskiego genjuszu, — potęgą poszczególnych obrazów (paralela pomiędzy wzburzonym morzem a konwencją) sięga wyżyn sztuki filmowej, a wokół postaci „boga wojny” potrafił roztoczyć twórca „La Rone” aureolę prawdziwej nadludzkości. Oto czemu „Napoleona” bez chwili wahania nazwałbym najciekawszym filmem tygodnia, gorąco polecając go wszystkim miłośnikom kina.

Niemniej gorąco polecam nowy polski obraz „Przeznaczenie”, zrealizowany przez J. Stara podług powieści znanego pisarza Leo Belmonta. Szkoda, iż film ten nie ograniczył się do pierwszych 8 aktów, których bohaterami jest dwoje cudownych pędraków: Musia Dajchesówna i Biana Dodo. Pierwsza ta część jest zupełnie zamkniętą w sobie całością — pełną poetyckiego czaru i rozkosznej prymitywności. Historia dwojga dzieci, wędrownego kuglarza (znakomity Krzewiński!), dobrego karczmarza (debiut Benedykta Hertza — brawo!), jego żony-heroda baby — ujmuje wdziękiem. W drugiej części obrazu śliczna Biana wyrosła na pannicę bez wyrazu, Fred Sym, mimo doskonałych warunków, nie porusza się z taką naturalnością, jak w dzieciństwie. W każdym razie na „Przeznaczenie” winni zwrócić uwagę nasi ludzie filmu — obraz ten jest dowodem, że bez



Bella Collini (tancerka z Bristolu)

uciekania się do sensacji można stworzyć obraz o walorach artystycznych.

Nadmienimy, że wkrótce ujrzymy dwa nowe filmy polskie. Będzie to „Huragan” — wielki dramat na tle czasów powstania 1863 r., realizacji pp. Lejtesa i Brauna, oraz „Polonia Restituta”. Ten ostatni obraz będzie dokumentem chwały narodowej — bohaterskich walk o Niepodległość Ojczyzny z lat 1918 — 1921.

Anatol Stern

## MAŁŻONKÓW

Który rok w pożyciu małżonków jest krytyczny?

Takie pytanie zadał sobie pewien reporter amerykański. A jeżeli podobne pytanie zadaje sobie dziennikarz, zwłaszcza typu reporterskiego, znaczy to, że zada je i wielu kompetentnym osobistościom, aby następnie móc ogłosić razem z pytaniem i statystyczną odpowiedź.

Amerykański dziennikarz, o którym mowa, przejrzał przedewszystkiem listę rozwodów. Z tej listy dowiedział się, czarno na białym, że 93% rozwodów przeprowadzono po czterech latach małżeńskiego pożycia.

Kto przetrwa z małżonką (z małżonkiem) w zgodzie cztery lata, ten istotnie kocha swoją żonę (swojego męża) i posiada sztukę obcowania towarzyskiego, tę największą ze sztuk, zwaną dobrem wychowaniem. Podobno dobre wychowanie, delikatność jest ważniejszym elementem szczęścia rodzinnego, niż miłość. Miłość nieraz bywa dokuczliwa, ponieważ jest (czasem) zazdrosna, impetyczna. Trzeba być naprawdę znakomicie wychowanym, aby umieć panować nad swoją serdeczną namiętnością, nie dać jej się nierozumnie ponosić, ale kierować nią, jak ognistym wierzchowcem, który pędzi naprzód, na nic nie zważając, choćby w przepaść, gdy przecież celem miłości jest szczęście.

Nie ulega wątpliwości, że ludzie taktowni, dobrze wychowani, czyli unikający zatargów w codziennym wzajemnym obcowaniu z sobą, rozwodzą się najrzadziej.

JULJAN EJSMOND

## FELJETON SZKOLNY

Dla humorysty wdzięczne pole stanowi  
zrobić czasami na złość nawet belfrowi.  
Potem śmiać się wesoło!  
Życie jest także szkołą,  
i nieraz ten, kto ściga,  
tryumf osiąga.

Miło jest i rozkosznie figlować w „budzie”,  
choć wieszcz mówi: „i belfry są także ludzie”.  
Niechaj duży i mały  
robi czasem kawały —  
niechaj młody i stary  
mknij na wagary...

Ale wówczas się kończy wszelkie wesele,  
kiedy kawały robią nauczyciele  
i zadają tematy,  
których by literaty

nigdy nie rozwiązały  
przez żywot cały...

W piątej klasie takie się ćwiczenie wali:  
„Po co wszyscy Budrysi laszki chwyтали?  
Co budrysi z laszkami potem robili?  
Czemu Adam nie zyskał względów Maryli?  
Co was w miłości wieszcz najbardziej wzrusza?  
Jak skończyć należałoby „Tadeusza”?  
Czemu Słowacki nigdy nie był na Krymie?  
Czem się Mickiewicz nocą zajmował w Rzymie...”

Dla humorysty wdzięczne pole stanowi  
zrobić czasami na złość nawet belfrowi,  
Potem śmiać się dzień cały!  
Bardzo lubię kawały.  
Dziś jestem wprawdzie duży,  
lecz — byłem młody!...



# BAL ZWIĄZKU AUTORÓW DRAMATYCZNYCH POLSKICH W WARSZAWIE



Bal ten zgromadził w wytwornych salo-  
nach Hotelu Europejskiego najwykwint-  
niejsze towarzystwo. Zabawa trwała do  
rana. Toalety pań wyróżniały się dobrym  
smakiem i wytwornością.

Bal zaszczyliła swą obecnością p. Au-  
gustowa Zaleska, małżonka ministra S. Z.



P. Marja Malicka z siostrą,  
p. Soboniową.



Wielk em powodzeniem cieszył się bar, urządzony przez Wincentego  
Drabika, a w którym pod kierownictwem naczelnego barmana znanego  
poety i dramaturga Zdzisława Kleszczyńskiego, częstowały winem i cocktai-  
lami najpiękniejsze artystki warszawskie

Przy jednym ze stolów od pra-  
wej do lewej: pp. Marjan Borzęcki,  
wiceprezydent Warszawy, Kornel  
Makuszyński, inż. Słomiński, pre-  
zydent stolicy, p. Borzęcka,  
p. Jaroszewicz, komisarz m. st.  
Warszawy



Fot. Jan Malarski



## Rozmowy karnawałowe

Karnawał jest porą rozkwitu życia towarzyskiego. Ludzie porzucają swoje kryjówki, gniazda i ogniska. Nowe smokingi i fraki — a przynajmniej, jak mówią krawcy, modernizowanie linii i klap, z ubiegłych sezonów. Bale publiczne na cele i bale prywatne bardziej celowe. Tańczące bridże, five o'clocki o północy, kolacje, objady, rewanże... Przyjmuje się w miarę możliwości i bywa często ponad miarę.

Co rok powtarza się to samo z małymi odmianami w menu i modzie.

W ubiegłym sezonie — pani pamięta? — suknie zahaftowane perełkami, linja prosta. Obecnie pani posiada krynolinę. I ta krynolina, trudno uwierzyć, nadaje nowy kierunek życiu towarzyskiemu. W prostej koszulce zahaftowanej kamyczkami tańczyło się uparcie, do upadłego charlestona. W krynolinie tańczy się znacznie wolniej (bo co by zostało z pani tiulów?) i tańczy się odrobinę mniej. Natomiast wraca do mody rozmowa.

Było się trochę odzwyczajonym od rozmów karnawałowych. Więc jak rozmawiać teraz? Okrągłe zdania są niemożliwe. Obowiązują skróty: zdania muszą być tak skrócone, jak suknie.

Rozmowy w dancingu — restauracji — kawiarni, gdzie zawodzi saksofon, wali fortepian, tną skrzypce, wyskakują bandzio, a wszystko razem zagłusza bęben — są ogromnie ułatwione. Można wtedy poruszać wszystkie tematy milczenia. Poza tym przy tangu rozmawia się z łatwością o miłości i finansach, przy bostonie o polityce i jedzeniu, a przy wiazance romanów cygańskich wspomina się najpiękniejsze karty swojego życia, czasem nawet historyczne.

Daleko trudniej rozmawiać bez muzyki na proszonym obiedzie, kolacji lub czarnej kawie. Podtrzymywanie rozmowy bywa rzeczą tragiczną. Ale istnieje pewien szablon rozmów, który ratuje człowieka w sezonie rozkwitu życia towarzyskiego: wydobywa się go z komórek mózgowych, nakłada wraz ze smokingiem i suknią balową. Zawijazuje się krawat, nawiązuje rozmowę.

Jak zacząć rozmowę, gdy się trochę odwykło? W salonie — od portretów rodzinnych. Są zawsze źle trafione i postarzają panią domu.

— Tak wyglądać będzie pani za dziesięć lat...

— Schowałbym, będąc na pani miejscu, ten portret na strych. Robi pani na nim wrażenie kobiety czterdziestoletniej!

(W rzeczywistości pani ma czterdzieści dwa lata).

Tylko początek jest trudny. Już po chwili mówi się o polityce. Jeżeli wszyscy są tego samego zdania, co w obecnych czasach zdarza się coraz częściej, rozmowa przechodzi łatwo i bez żadnych starć.

Mówi się też o dzieciach, chociaż to temat zabójczy. „Mamusie”, które się chcą podobać i mieć powodzenie, powinny unikać tego tematu. Doprawdy nic tak nie zniechęca mężczyzny, jak dziecko. Powtarzając głupstwa i mądrości swoich Jasiów i Haneczek, wyrabia się im straszną i niezastępowaną opinię. Jeżeli jednak uprzejmy gość pyta panią o córeczkę czy synka, to należy mówić dowcipy, jakiego mogły powiedzieć, a nie niedorzeczności, które powiedziały.

W pewnych ciężkich momentach, jak ślub, zaręczyny, — ratuje się człowiek powiedzeniami okolicznościowymi. Młodej parze mówi się, że jest dobraną, a przyjaciółkom i przyjaciołom młodej pary powtarza się niezmiennie:

— A teraz kolej na panią.

— Niech pan idzie za jego przykładem.

Lecz przy stereotypowych zdaniach nie należy upierać się zbyt, gdyż mogą wpędzić w nieszczęście. Jeżeli na uczcie weselnej posadzą cię przy uroczym mężatce, nie wolno powiedzieć jej:

— A teraz kolej na panią...

Rozmawia się też niezmiennie o zmiennej pogodzie. Doprawdy, pogoda podtrzymuje szlachetniejsze elementy życia towarzyskiego — lecz nie może konkurować z istotną podstawą życia towarzyskiego, to jest z obmową.

Ale i w obmowie istnieje zabójczy szablon: Gospodarzy, u których spożywało się kolację, obgaduje się już na schodach, nie czekając bramy. Na jednych przyjęciach jest za wiele nakryć, sreber, kryształów, filiżanek, kieliszków, talerzyków i za mało na tych talerzykach i w tych kieliszkach; na innych odwrotnie, za dużo jedzenia i picia a za mało widelcy i talerzy. Gospodarz domu albo nie dba o gości, albo przesadza „Gospodyni domu jest albo za uprzejma i „wyręcza służbę”, albo nic sobie z nikogo nie robi, „zdaje się jej, że wystarczy dać dobrą kolację...”. Oto wszystko, co można powiedzieć na schodach o gospodarzach.

Obmawianie swoich bliźnich także jest bardzo ograniczone: rozwód, zdrada, zerwanie, zaręczyny, nadużycie, ucieczka, powrót. Wszystko to jest nudne, o ile nie zabarwi faktów rzeczywistych odrobina fantazji. Fantazja jest dozwolona, fantazja zaostrza rozmowę, nie pozwala jej upaść. Tylko nie należy przesadzać i każdą plotkę zaczynać od: „podobno...” a nie: „wiem to z wiarygodnego źródła”.

W rozmowie i obmowie trzeba dbać o dowcip. Jeżeli się ma mało do powiedzenia, to lepiej milczeć. Milczy się inteligentnie. I milczy się tylko wtedy, gdy ma się istotnie coś do powiedzenia — a to nie wchodzi w zakres rozmów karnawałowych.

H. Jel.

P. S.

Kilka aforyzmów o rozmowie Andrzeja Maurois:

— Kobieta nie lubi, gdy mówią o jej miłostkach, ale pragnęłaby, żeby cały świat wiedział, że jest kochaną.

— Rada jest zawsze zwierzeniem.

— Lubimy szczerść tych, którzy nas kochają. Szczerść innych ludzi nazywamy bezczelnością.

— Rozmawiamy szczerze o naszych

### BAL ROLNICZY

(feljeton na zakończenie karnawału)

Chociaż w Polsce pięknych balów nikt nie zliczy, najpiękniejszy z wszystkich będzie bal rolniczy...

Nim nadejdzie czas umartwień, czas pokuty, osiemnasty oczaruje wszystkich luty...

Choć karnawał porozdawał moc słodczy, najpiękniejszy z wszystkich będzie bal rolniczy...

wadach tylko z tymi, którzy znają nasze zalety.

— Wszystko, co mówisz, będzie powtórzone. Mężczyzna, przed którym obgadujesz kobietę, ożeni się z nią i zamknie ci drzwi przed nosem.

— Jest to dowodem wielkiej dobroci zapomnieć cudze zwierzenia...

— Przy narodzinach miłości mówi się o przyszłości, u schyłku — o przeszłości.

— Istnieją trzy tematy rozmowy: ja jestem ja, ty jesteś ty, a reszta to są obcy.

### Powiedzenia, powiedzonka...

Oto cztery aforyzmy Francis'a Chevasu:

Próżniactwo jest odmiennym rodzajem pracy. Praca ta była długi czas zapoznawana.

Obawa przed śmiesznością jest uprzejmością w stosunku do opinii głupców.

Nic nie robić trzeba — potrafić.

Dowcip jest lekką kawalerją myśli.

Ktoś dowcipnie wyraził się o stosunkach miłosnych pani George Sand, że kochankowie tej autorki, wobec jej energii, wyglądali zawsze na kobiety; tak się dzieje w wielu małżeństwach (Władysław Mickiewicz „Pamiętniki”).

Kobiety instynktownie wiedzą, jak bronić swego duchowego ubóstwa (André Rouveyre).

Nasze boleści byłyby znośne, gdyby nie było radości sąsiadów. (Pierre Dommigny).

Szczęście nie jest celem, lecz apetytem. (Jacques Reboul).

A oto znów kilka powiedzeń p. Maxa Daireaux o przyjaźni:

„Można zwątpić w siebie, lecz nigdy w przyjaciela”.

I ten sam p. Max Daireaux powiada:

„Od naszych przyjaciół zawsze spodziewamy się więcej, niż dać nam mogą. A dają zawsze mniej, niż daćby mogli”.

I jeszcze:

„Ilu przyjaciół, tyle słabości. A każda słabość jest ukarana”.

Albo taka odzywka:

„Na przyjaciół zawsze można liczyć, jeżeli się potrzebuje dobrego słowa”.

I taką jeszcze daje radę p. Daireaux:

„Unikajmy przyjaźni tych, którzy nie znoszą samotności”.

I stwierdza:

„Wielu przyjaciół nie czyni jednego przyjaciela”.

I ostrzega:

„Oddać przysługę przyjacielowi jest przyjemnie, jest czasem koniecznością, jest zawsze niebezpiecznie. Mało przyjaźni wytrzymuje tę próbę”.

A. B.



## Czwartek

Tak dawno nie byłem w teatrze krakowskim, że zapomniałem już, z jakim ceremonjałem ta rzecz się odbywa. — Dwa dni przedtem zamówiłem dwa fotele na premierę, dla siebie i dla pani O. Ch. W sobotę rano, zupełnie pewny siebie i biletów, poszedłem je wykupić do kasy teatralnej. „Wszystkie bilety wykupione”, odrzekła panienska z okienka. „Jakto?”, zawołałem, przecież zamówiłem dwa fotele telefonicznie”. — „Zamówień telefonicznych nie bierzemy pod uwagę”, odparła sucho osoba. — „Dobrze, w takim razie idę powiedzieć to Nowakowskiemu (nie powiedziałem „dyrektorowi”, co miało oznaczać, że jestem jakąś wybitną osobistością, z którą się nawet Nowakowski musi liczyć). Osoba momentalnie zmiękła i odprzedała mi dwa bilety, zapisane na nazwisko P. Staterowej. Wyjazd do teatru, powiedzmy, z ulicy Wolskiej lub Zwierzynieckiej jest niezmiernie skomplikowany. O taksach po za rynkiem i rogiem Bagateli i Esplanady niema mowy. Taksówki krakowskie mają małe zboczenie na punkcie rynku, lubią sobie tam stać godzinami i przyglądać się wieczorem dwóm przepięknym reklamom świetlnym, aż nie popadną w hypnotyczny sen. A tymczasem rodzina, złożona z ojca, matki, babki i dzieci, goni po błocie za uciekającym, jak sen, tramwajem, gubiąc szaliki i botki, aż wkońcu nawinie się jakiś zaspiany dorożkarz z karetką, do której wladowuje się cała rodzina. Matka bierze babkę na kolana, dzieci, szczypiąc się, siadają obok, a skołatana głowa rodziny siada na kozle i jazda do teatru na drugi akt.

Sobotnia premiera w teatrze Słowackiego ma wygląd odświętny, panowie przeważnie w smokingach, panie w wizytowych sukniach (a nie, jak w powszedni dzień, w swetrach), z głowami ufryzowanymi na barana. — Oczekiwanie pełne napięcia nerwów. Ale tak, jak wszędzie na świecie, galowe przedstawienie zacząć się może dopiero z nadejściem dworu, albo prezydenta Republiki.

Ale oto i dwór — w łoży na parterze pierwszej od sceny robi się ruch, po chwili z futer, gaz, i deziluzji wyłania się królowa Krakowa i Pan J. — Królowa, zawsze urocza i różana w sukni niebieskiej na spodzie ze srebrnej lamy, na głowie ma srebrny turban, staje w łoży i rozdaje ukłony. Jaka prosta przytem i łaskawa, publiczność wzruszona odsyła ukłony władczyni, duszę ogarnia przyjemne wzruszenie patriotyczne, tak jak na przedstawieniu „Kościuszki pod Racławicami”. — Obok królowej siada dama dworu, piękna Pani B. Młodą jej twarz upoważniają siwiejące fale włosów. Pan J. w świetnie skrojonym smo-

kingu siada z drugiej strony królowej. — Jak dystygowanie i wykwinie wygląda dworaska łoża. Ale cóż to? czemu do brotliwa władczyni miała ten nietakt, żeby oszpecić łożę jakąś podejrzaną parą gości, (ona jumper włóczkowy, on zwykle ciemne ubranie). „„To zbiorowa łoża!...” szepczą koło mnie jakieś kłamliwe wargi. Nieprawda, pocieszam się w duchu, królowa w swej dobroci zaprosiła do łoży którąś ze swoich dwórek z narzeczonym. Czemu nie brać wszystkiego po prostu. — Ale oto i poważny głos gongu, będą grać świetną sztukę Caillaveta i Flersa „Zielony Frak”. Na scenę wchodzi młody człowiek, przystojny i zgrabny, który nie widział na oczy jakiegokolwiek księcia, tak się zdarzyło. Młody aktor w swojej bujnej wyobraźni wyobraża sobie, że książę musi być tabetykiem (prosty wynik na starość błękitnej krwi), że powinien mieć włosy pół siwe pół rude i, że bezwzględnie powinien mówić po polsku z wyraźnym akcentem żydowskim. — „Miewam się dobrze” — powiada, ciągnąc za sobą powłóczyście nogi. — Na scenę wchodzi kilka aktorek. — (hrabin), niektóre wcale ładne, wszystkie oprócz p. Hałacińskiej (Księżna de Maulevier) i P. Niedźwieckiej (Brygida Touchard) o wybitnem amatorskiem zacięciu. Przypominają się dobre przedwojenne czasy, kiedy krakowski „monde” urządził na scenie teatru Słowackiego amatorskie przedstawienia. Przekonałem się, że na scenie najtrudniejszą rzeczą jest milczenie. Co robić wtedy z nogami, rękami, głową, suknią etc. Zwykle gdy jedna część aktorów gada, druga milczy po kątach, ale to milczenie musi być też grą. Zresztą, co tu mówić, cała sztuka miała charakter gościnnego występu Zygmunta Nowakowskiego w prowincjonalnym teatryku. On jeden grał, on robił całą sztukę, innych męskich ról nie było wogóle. Hrabia Latour — Latour, którego postać odtwarza, wymarzony przez niego w bezsennych popołudniach, był w swoim snobskim kretyństwie do zakochania. Gra Nowakowskiego wykazała wyraźnie, że na to, żeby być aktorem, nie wystarczy skończyć szkołę dramatyczną i być młodym futbolistą, lub wioślaczem, trzeba tak samo, jak w każdej innej sztuce, być tak, jak pan N., człowiekiem twórczym, dowcipnym, mówiącym językami, trzeba dużo podróżować i ocierać się o „hrabiów” lub o „hrabiny”, a przede wszystkim o kulturę. — Wracając do postaci hr. Latour’a, to pożałowania godne jest to, że francuzcy komedjopisarze obrzydzili arystokracji całego świata snobizm. Pani Chw, słusznie zauważyła, że co drugi młody bubek z „high lifu” byłby takim, jak hr. Latour, gdyby się tego nie wstydził. Ach! o ileż zabawniej byłoby na świecie, gdyby np. „mały” Tyszkiewicz mawiał mniej więcej w ten sposób: „Pan zapomina, kochany panie, że mój praszczur (uważał słowo praszczur wykazuje wyraźnie, że

pochodzimy nie od małp, jak by się здавало, ale od szczurów)... Wasił Tyszkiewicz już w piętnastym wieku dostał za udaną polityczną misję u Iwana Groźnego tytuł grabiego od króla Zygmunta Augusta, i że nasz ród jest starszy od innych starych rodów polskich etc.”. Tak, stanowczo byłoby zabawniej, gdyby książęta podawali niższym od siebie dwa palce, tak jak na scenie, żeby mieli pieniądze, i mieszkali mrużąc oczy, spoglądając przez face a main na świat i nie wymawiając litery „R”, w pięknych starych manoir’ach. — Ale wracając jeszcze do „Zielonego Fraka” (a propos fraków to teatr krakowski posiada tylko dwa zielone fraki, tak, że trzeci członek Akademii Francuskiej musiał wystąpić na scenie w zwykłym czarnym i przez co nie wyglądał na „immortela”, ale na zwyczajnego śmiertelnika), otóż „Zielony Frak” był świetnie i dowcipnie tłumaczony przez P. Jachimęcką, z ogromnem zrozumieniem francuskiego humoru. — Dekoracje też były świetne, bo pobudzały fantazję widzów i dawały pole do marzeń o naprawdę dobrych i europejskich dekoracjach

Kraków

Magdalena Samozwaniec

*In the splendid isolation*

## O REDUCIE WILEŃSKIEJ

Sezon obecny rozpoczyna Reduta w trzeciej formie organizacyjnej. Zmiany polegają na tem, że grodzieńska attynencja Reduty została skasowana i, że Teatr Polski pod dyktando p. Rychłowskiego przestał być „grupą Reduty”, stając się instytucją samodzielną.

Odtąd działalność Reduty ogniskować się ma w teatrze na Pohulance, skąd, od czasu do czasu, przedsiębrane będą wypadki objazdowe. Poza tem p. Osterwa zamierza — jak słychać — wskrzesić Instytut

Zatem — inna organizacja. Szukanie nowych form, czy też powrót do założeń pierwotnych? Miałoby to znaczyć, że Reduta dąży do zmiany, do poprawy istniejącego stanu rzeczy?

Ileż pisało się krytycznie o Reducie, wywoływało się sarkania:

— Jak można?! Przecież to zasłużona placówka kulturalna! — Powstała z ofiar społeczeństwa kresowego — — — — — pełni chlubną rolę krzewiciela piękna i sztuki na oddalonych Ziemiach Wschodnich!

Tymczasem teraz — nawet ta niewielka garstka ślepych wielbicieli Reduty postrzegła, że dzieje się niedobrze. Mimo całego entuzjazmu wilnian dla Reduty, mimo dumy, wynikającej z poczucia posiadania takiego teatru, jak REDUTA — widownia teatru pustoszała z wieczora na wieczór...

Prof. Stefan Srebrny w zestawieniu swem działalności Reduty pisze w ostatnim (trzecim) numerze „Źródła Mocy”:

„C i ę ż k i e d o ś w i a d c z e n i a, które przypadły Reducie w pierwszym sezonie wileńskim, zmusiły ją do szukania nowych dróg organizacji. Poszukiwaniu te poszły w kierunku ekstensywnym”.



Sprowadzono z Grodna teatr p. Rychłowskiego, aby dać Wilnu, obok poważnego teatru artystycznego, scenę rozrywkową, której brak (słowa p. prof. Srebrnego), jak się okazało, odczuwała publiczność w sezonie ubiegłym.

Nie ulega wątpliwości, że akcja objazdowa Reduty po najbardziej zapadłych kątach Rzeczypospolitej w sezonie ubiegłym miała swoje doniosłe znaczenie, jako czynnik propagandowy. Niepodobna wszakże wyżyć się obawy, czy wystawienie, dajmy na to, Calderona i Słowackiego pod gołym niebem w postaci widowiska ludowego dla mas, dla mas — powtarzam — które nigdy na oczy nie oglądały teatru, które nie mają najmniejszego wyobrażenia o sztuce, które wreszcie słabo albo i wcale nie władają językiem polskim — czy masy takie zdolne są pojąć cokolwiek z Calderona, Maeterlincka, Ibsena?

Czy — wobec tego — trafny był wybór repertuaru trupy objazdowej?

Zamierzony podział repertuaru — pisze dalej p. prof. Srebrny — pomiędzy teatrem na Pohulance a „Lutnią”, który miał dać Reducie możliwość grania wyłącznie sztuk wartościowych, w praktyce, jak się okazało, przeprowadzić się nie dał: na scenie Reduty, obok dzieł Słowackiego, Fredry, Corneille’a, Moliera, Maeterlincka, Ibsena, Pirandella, widywaliśmy płaskie farsy, jak „Mąż z grzeczności” i rzeczy zgoła słabsze.

Cóż było robić? Grodno, mające jeden tylko teatr, wymagało repertuaru roz-

rywkowego, a Wilno pracować samodzielnie nie mogło.

Jednak owe „płaskie farsy”, wystawiane z pośpiechem, nie dawały spodziewanych wyników. Padły z miejsca, jak muchy. Nigdy nie szły dłużej nad 4 — 6 razy.

Dlaczego? Odpowiedź nietrudna. Nawet płaskie farsy nie mogły mieć powodzenia, skoro wtłaczano je w inscenizację zgoła niewłaściwą, skoro brakło całkowicie w Reducie talentów komicznych.

Nie da się zaprzeczyć, że Reduta posiada artystów utalentowanych. Ale wszyscy są nastroszeni na jedną nutę — makabrycznie, ponuro. Słusznie pisał Czesław Jankowski, że Reducie braknie szczerzotłego, żywiołowego humoru.

A jeżeli dodać jeszcze ów półmrok, w który Reduta tak lubi się spowijać. Artyści, grający najwykłęjszą farsę, czynią wrażenie cieniów elizejskich, lub — jeśli kto woli — duchów potępionych w Hadesie.

Pierwszy sezon w Wilnie rozpoczęła Reduta „Mazepa” Słowackiego. Widowisko wypadło średnio. Nie było w niem żadnej koncepcji inscenizacyjnej, żadnego konsekwentnie przemyślanego rozwiązania. Rola Wojewody chybiona była najzupełniej.

Nastąpił potem długi szereg częstych premier. Wystawiono „Romantycznych” Rostanda, „Żeglarza” i „Papierowego kochanka” Szaniawskiego, „Henryka IV” Pirandello, „Brata marnotrawnego” Wilde’a, „Heddy Gabler” Ibsena, „Siostrę

Beatrix” Maeterlincka, „Don Juana Tenorio” Zorilli i t. d.

Bez ogródek przyznać trzeba, że niektóre sztuki cieszyły się dużym powodzeniem. Czy to była zasługa obecnej wówczas w Reducie pani Ireny Solskiej, czy inne przyczyny, trudno określić.

W drugim sezonie ewenementem niezwykłym był „Sen” Felicji Kruszkowskiej, wilnianki, znanej zaledwie z paru tomików poezji. „Sen” poruszył Wilno. Pusta zazwyczaj sala teatralna napełniała się raz po raz. Grano sztukę około dwudziestu razy. „Sen” nie tylko chwalono. Zwalczano go również namiętnie; sztuka i inscenizacja (ekspresjonistyczna) wywołały dyskusję, spory, wystąpienia w prasie.

Na „Śnie” się w tym sezonie skończyło.

Sezon trzeci — obecny — otworzono „Oknem” p. Andrzeja Rybickiego.

Mimo niewątpliwego talentu poetyckiego i poczucia sceny autora — „Okno” niebawem zamknięto. Za niem światło kinkietów ujrzała „Zemsta”, „Noc Listopadowa”, wreszcie „Sędziowie” i „Betlejem ostrobramskie”.

Z prawdziwym smutkiem patrzeć trzeba na tragiczne poczynania Reduty. Nikt nie wątpi o jej doniosłym znaczeniu, szczególnie tu, na Ziemiach Wschodnich, gdzie każdy radby zobaczyć dobrą sztukę, słyszeć dobrych artystów, cieszyć się nową twórczością i przeżywać dawne dzieje... Tak mało ma Wilno rozrywek kulturalnych, że chciałoby utrzymać przy najmniej istniejące.

E. M. Schummer



Zula Pogorzelska

## Z MNIEJSZYCH TEATRÓW

### DWIE ULUBIENICE PUBLICZNOŚCI

Pogorzelska! Zimińska! Któż w Warszawie nie zna tych nazwisk? Obie zabiły w „Qui pro quo”, lecz gdy Zimińska dochowuje temu teatrykowi wierności, Pogorzelska zdradziła go dla „Nowości”. Tam śpiewa swym miłym barytonem (dowcip Boya!), tam z nigdy nie słabnącym temperamentem wykonywa diabelskie pomysły taneczne, obliczone na kuszenie obywateli wszystkich wyznań. Zimińska, to zgoła inny rodzaj. Ma dowcip skupiony, spokojny, wystrzelający niespodzianie. Pogorzelska to urodzona wodewilistka. Zimińska — to artystka komedjowa, która utknęła w podziemnym labiryncie Galerji Luksenburga, bo nie była tak przezorną, jak Arjadna. Ma tyle humoru i talentu, że i tutaj nie dała się zgasić Ordonównie, ma liczne i nieustępliwe rzesze zwolenników. Lecz jeśli prawdą jest, że kabaret prowadzi wszędzie, byle zeń wyjść, — Zimińska powinna jak najprędzej znaleźć się w zespole lekkiej komedji. Jej angielski humour, jej inteligencja artystyczna tam znajdą dopiero pełny wyraz.



Rys. art. mal. Zyg. Nirnstein

Mira Zimińska



# Centralne ogrzewanie miast

W ciągu całej zimy, a zwłaszcza z nastaniem silniejszych mrozów, suną przez ulice miasta liczne wozy naładowane węglem. To widomy dowód troski mieszkańców o ogrzanie swych ognisk domowych. I każdy z nich musi oddzielnie troszczyć się o zapas opału, albo — w razie potrzeby — jeszcze mieszkania nasze posługują się przeważnie systemem indywidualnego ogrzewania. Pod tym względem nie odczuwamy na ogół zbyt wielu postępów nowoczesnej techniki. W technice ogrzewania, jaką stosuje najszerszy ogół, zaszły od wieków bardzo nieznaczne tylko zmiany. Miejsce kominka zastąpił piec kaflowy, lub biedniejszy piecyk żelazny; bardzo niewiele domów w Polsce może się pochlubić centralnym ogrzewaniem. Od wielu, wielu lat narażamy się na te same niedogodności, popełniamy te same kosztowne marnotrawstwa. Węgiel i popiół brudzą i zaśmiecają nasze mieszkania, nie możemy ani racjonalnie rozdzielić ciepła na poszczególne pokoje, ani odpowiednio dokładnie unormować temperatury; musimy posługiwać się najlepszymi i najdroższymi gatunkami węgla, inne bowiem, gorsze i tańsze, nie nadają się do użycia przy tym systemie opalania.

Poniekąd zaradziło na te rozmaite braki wprowadzenie centralnego ogrzewania, które jednak, jak już wspominałem, nie jest jeszcze w Polsce bardzo rozpowszechnione. Był to już ogromny postęp. Źródło ciepła znajdowało się poza ogrzewanym lokalem, nie wytwarzało w mieszkaniu brudu i pyłu, przez co sposób ten był bardziej zgodny z wymogami higieny. Zamykając lub otwierając kurki poszczególnych radiatorów, można było normować dowolnie temperaturę każdego pokoju, nie marnować ciepła przez zbyt, nie dające się obliczyć rozgrzanie pieca, a potem otwieranie okien celem pozbycia się nadmiaru ciepła. Ogrzewanie uskuteczniało początkowo zapomocą nagrzanego powietrza, potem pary, ostatecznie przyjęto niemal powszechnie system ogrzewania gorącą wodą. O ile kocioł centralny był stale i równomiernie podgrzewany, radiator dawał dużo ciepła i łatwo można je było regulować.

Ale centralne ogrzewanie całych domów miało także swoje strony ujemne. W okresie drożyzny zwłaszcza dochodziło do konfliktów między zarządem domów czynszowych a lokatorami o ilość dostarczanego ciepła, o cenę, o nieterminowość wypłat i t. p. To spowodowało, że tu i ówdzie poczęto wprowadzać system centralnego ogrzewania nie całych domów, ale poszczególnych mieszkań. Aczkolwiek był to system dogodny i dla właścicieli domów i dla lokatorów, był on jednakże cofnięciem się wstecz, do dawnych niewygód, a w dodatku był kosztowny, wymagał bowiem oddzielnych instalacji dla każdego mieszkania.

Tymczasem Ameryka, krocząca zawsze na czele technicznego postępu, rozpoczęła już dawno wprowadzanie i wypróbowywanie jeszcze innej metody. Wynikła ona ze zrozumienia, że niema przecież żadnej technicznej przeszkody czy trudności, by bądź miasto, bądź specjalne zakłady przemysłowe dostarczały mieszkańcom ciepła, tak jak dostarczają wody, gazu, czy elektryczności. Inne mi słowy, zrodził się pomysł centralnego ogrzewania całych miast lub poszczególnych ich dzielnic.

Pierwszą próbę tego rodzaju przeprowadził amerykański inżynier Birdtal Holly już w r. 1877 w mieście Lockport,

liczącym 20.000 mieszkańców. Początkowa instalacja, zawierająca dwa kilometry ogrzewających kanałów, obsługiwała kilkanaście domów mieszkalnych, pięć magazynów i dwa kościoły. Wyniki były tak doskonałe, że linia kanalizacyjna rozszerzyła się z czasem do 15 klm., a liczba odbiorców ciepła wzrosła do 500. Za przykładem Lockportu poszły inne miasta amerykańskie i w przeddzień wielkiej wojny już około 300 osiedli stosowało tę metodę ogrzewania. W ostatnim dziesięciu lat system rozpowszechnił się jeszcze bardziej, a dzisiaj całe dzielnice wielkich miast: Nowego Jorku, Bostonu, Saint-Louis, Pittsburga, Detroit, Milwaukee i t. d. korzystają z centralnego ogrzewania.

W Niemczech pierwsze próby tego systemu sięgają r. 1900, kiedy poczęto tworzyć centrale ogrzewania dla grup sąsiadujących budynków, dworców, szpitali, szkół i t. p. Po raz pierwszy sprzedano ciepło prywatnym odbiorcom w r. 1921 w Hamburgu, niebawem wkroczyły na tę drogę inne miasta, jak Kilonja, Barmen, Brunszwik, obecnie zaś projektuje się urządzenie tego rodzaju instalacji w Berlinie, Szczecinie, Frankfurtcie, Sztutgarcie i kilkudziesięciu innych.

System posiada niewątpliwie niezwykle zalety. Przedewszystkiem nadzór specjalistów nad wytwarzaniem potrzebnej ilości ciepła — nadzór, który opłaca się sówicie przy masowym odbiorze — gwarantuje możliwie największą oszczędność opału i najdoskonalsze wyzyskanie go, przez zwiększenie do maximum jego wydajności. Powtóre za materiał opałowy służą najtańsze, podrzędne gatunki węgla, które — jak wykazały liczne doświadczenia — racjonalnie spalone, zwłaszcza w stanie sproszkowanym — dają efekt cieplny większy, niż najkosztowniejszy antracyt. Skombinowanie pracy ogrzewalni z pracą elektrowni daje nowe korzyści, pozwala bowiem dochodowo wyzyskać w elektrowni te godziny dnia, kiedy zużycie prądu jest najmniejsze.

Za ciepło dostarczone płaci się podług licznika. Ten licznik, tak zwalczany dzisiaj w instalacji telefonicznej, jest w instalacji ogrzewalnej dobrodziejstwem dla konsumenta. Uczy on konsumenta oszczędności, każąc mu zamykać kurki przewodów cieplnych, gdy temperatura dojdzie do normy, zamiast zwlekać i otwierać okna, gdy ciepło stanie się nieznośne. Ale z drugiej strony konsument, płacąc za każdą kalorję, jak za wodę czy za gaz, płaci tylko wtedy, gdy tego ciepła potrzebuje i zależnie od tego, ile go potrzebuje. Jakaż to niesłychana dogodność dla właścicieli hoteli na przykład, którzy dzięki temu nie są zmuszeni rozgrzewać pokoi, w których nikt nie nocuje. A jakaż dogodność dla właścicieli domów, którzy tylko dołączają poszczególne mieszkania do instalacji i nie potrzebują troszczyć się o nic więcej.

Instalacja podziemnej sieci ogrzewającej nie naraża na specjalnych trudności. Przeprowadza się ją pod ulicami, jako sieć stalowych rur, spojonych okuciami lub zlutowanych. Za materiał izolacyjny służą klepki drewniane, zwoje kłaków lub opony z masy korkowej. Aby zapobiedz pękaniu rur wskutek rozszerzania się lub kurczenia pod wpływem zmian temperatury stosuje się t. zw. kompensatory — rozszerzone odcinki rur o powierzchni falistej, które dzięki temu mogą zmieniać długość, nie tracąc szczelności.

Użyta do ogrzewania woda albo spływa do kanałów, albo też powraca specjalnym przewodem do zakładu ogrzewawczego. W tym ostatnim wypadku instalacja musi być bardziej skomplikowana i wymaga większych kosztów, ale mimo to opłaca się, wracająca bowiem woda posiada jeszcze dosyć dużo ciepła i użycie jej powoduje oszczędność w nagrzewaniu kotłów.

W urządzeniu instalacji domowych zastosowano rozmaite systemy. Zazwyczaj wprowadza się do radiatorów gorącą parę po przepuszczeniu jej przez aparat odprężający, który zmniejsza ciśnienie, para bowiem nadchodzi pod wysokim ciśnieniem. Z radiatorów para powraca już w postaci wody, przechodzi przez przyrząd oczyszczający ją z resztek pary, dostaje się do licznika, ciężarowego lub objętościowego, poczem odpływa do ścieku lub do przewodu odprowadzającego. W domach czynszowych umieszcza się w piwnicach wspólny odprężacz pary, która następnie zostaje rozdzielana do poszczególnych mieszkań.

Ubocznym dochodem zakładów ogrzewania może być wprowadzona już tu i ówdzie w Niemczech sprzedaż gorącej wody do prania, mycia, kąpieli i t. p. W tym celu w domach, połączonych z instalacją, urządzony jest specjalny kran, który wydziela wodę wedle licznika. Inowacja ta spotyka się z dużym uznaniem, bowiem uzyskana w ten sposób gorąca woda kosztuje taniej, niż zagrzana na gazie, nie mówiąc już oczywiście o zwykłym piecu węglowym.

Centralne ogrzewanie miast jest niewątpliwie jednym z ważnych problemów przyszłości. Wobec tego może nareszcie i u nas ktoś o tej sprawie pomyśleć. A wówczas przestaniemy się martwić zagadnieniem, czy węglarz na czas dowiezie węgiel i czy starczy zapasu na zimę.

St. I.

## DZIEŁO POLSKIEGO FILOZOFA KSIĘDZA A. JAKUBISIKA



Przed paru dniami ukazało się w Paryżu dzieło filozofa polskiego księdza Augustyna Jakubisiaka, p. t. „Studjum nad granicami Przestrzeni i Czasu” (*Essai sur les limites de l'Espace et du Temps*). Dzieło to wywołało zainteresowanie w kołach literackich i prasie francuskiej.

Fot. S. Londyński



# TAM KUPUJCIE!

## M. ARCTA

ARTYSTYCZNE  
KSIĄŻKI OBRAZKOWE

PO 3 ZŁOTE  
DLA MAŁYCH DZIECI  
KSIĘGARNIA M. ARCTA  
Nowy-świat 35.



## Stenol

Dr. MEDYC. N. CYBULSKIEGO  
prof. Uniw. Jagiellońskiego

### Eliksir, Krem, Proszek

— ŻAŁAĆ WSZĘDZIE —



FABRYKA MEBLI

SP. AKC. „DYMMEK”

Poleca meble solidnej roboty  
od najwykwintniejszych do najskromniejszych  
Skład Fabryczny KRÓLEWSKA Nr. 9

## SAMOCODY

## DRIMLER

WIERZBOWA 6.

## LOS Y LOTERJI PAŃSTWOWEJ

należy kupować tylko w słynnej  
ze szczęścia na świat cały  
kolekturze

## E. LICHTENSTEIN i S-ka

Warszawa, Centrala kolektury Marszałkowska 146  
lub też w oddziałach tej kolektury Bielańska 3,  
Krakowskie-Przedmieście 37, Królewska 39, Kró-  
lewska 43, Nalewki 42, w Łodzi Piotrkowska 72  
w gmachu Grand Hotelu.

Szczęście stale sprzyja  
graczom tej kolektury!

Zanim się zdecydujesz  
na radio-aparat, musisz  
posłuchać demonstracji  
nowych modeli odbiorników  
Polskich Zakładów Radiotechnicznych  
WARSZAWA Boduena 4 TEL. 303-00. KATALOGI GRATIS.

WARSZAWSKA WYTWÓRNIĄ TRYKOTAŻY  
*Tricot*  
MARSZAŁKOWSKA 129-TEL. 42-83, 94-59

MAGAZYN  
WYKWINTNEJ  
GALANTERYI  
W. GOLIŃSKA  
WARSZAWA  
PLAC TEATRALNY

Sp. Akc. Budowy i Eksploatacji  
Zakładów Kąpielowych w Polsce  
LUKSUSOWY ZAKŁAD  
TERMOCZYNICZY



## ERMIA

Krak. Przedm. 16/18  
Tel.: 72-93, 419-44 i 12-52

Kąpiele: Piankowe, Świetlne  
PARAFINOTERAPJA

Najnowsze metody leczenia otyłości,  
artretyzmu, reumatyzmu, ischiasu i cho-  
rób kobiecych

Dział kosmetyczno leczniczy  
fizjoterapia wad cery

Na żądanie prospekty bezpłatnie

Wyborowe PIWA, PORTER i WÓDKI

## HABERBUSCH & SCHIELE S.A.

ŻAŁAĆ WSZĘDZIE.

## NIEMA KĄPIELI

bez SILV-OZON'u. Silv-Ozon „Motor”,  
przyrządzony ze świeżej kosodrzewiny,  
daje gwarancję otrzymania idealnej  
kąpeli balsamicznej; Silv-Ozon „Mo-  
tor” wzmacnia i krzepi organizm.

Wystrzegać się tanich bezwartościowych naśladowstw  
pozbawionych własności leczniczych.

## NAJWAŻNIEJSZE WYPADKI UBIEGŁEGO TYGODNIA

### PRZED WYBORAMI.

Państwowa Komisja Wyborcza unie-  
ważniła listy: Nr. 16 (P.P.S.-lewica), 23  
(Zw. siły chłopskiej) i 32 (Zjedn. lewicy  
chłopskiej) wobec wyraźnych cech fał-  
szerstwa podpisów.

Komunistyczną listę wyborczą Nr. 13  
uznano za ważną. Czy jednak komuni-  
stom poszczęści się lepiej w jawnej robo-  
cie, niż w nielegalnej, wydaje się bardzo  
wątpliwe.

Okręgowych list wyborczych zgłoszono  
ogółem w Warszawie 16 do Sejmu i 8  
do Senatu.

### SPRAWY PAŃSTWOWE.

Rokowania handlowe polsko-sowieckie  
uległy czasowej przerwie. Czy będą kon-  
tynuowane w Moskwie czy w Warszawie,  
jeszcze nie zdecydowane.

Delegacja polska powróciła z Moskwy.  
Na tem tle prasa niemiecka osnuła cały  
romans dyplomatyczny o zerwaniu roko-  
wań i przyczynach zerwania.

Osuszenie i meliorację Polesia zdecy-  
dowała Rada Ministrów. Polska może  
dzięki temu zyskać olbrzymie tereny ży-  
wej gleby, dotąd niewyżytkane.

Wiceministrem rolnictwa na miejsce  
ustępującego Dra J. Raczyńskiego za-  
mianowany p. W. Hanicki, dotychczasowy  
dyrektor departamentu rolnego.

Do konwencji genewskiej, znoszącej u-  
trudnienia w handlu międzynarodowym,  
przystąpiła Polska, utrzymując jedynie  
zakaz wywozu ropy naftowej i zakaz  
przywozu barwników.

### SPRAWY POLSKIE.

Pertraktacje z Niemcami posuwają się  
pomyślnie naprzód. Exposé ministra Stre-  
semanna poprze, niewątpliwie, wydatnie  
sprawę.

Polscy posłowie w Gdańsku uzależnili  
swoją stosunek do senatu od traktowania  
polskich interesów. Prezydent senatu  
wciąż zapewnia o dobrych chęciach  
względem Polski.

Styczeń był tańszy w Warszawie od  
grudnia wedle obliczeń Komisji do bada-  
nia kosztów utrzymania. Niestety, gospo-  
dynie nie podzielają tej opinii.

### POLITYKA ZAGRANICZNA.

Niemiecką politykę zagraniczną przed-  
stawił Stresemann w parlamencie w du-  
chu wybitnie pokojowym, zyskując uzna-  
nie centrum i lewicy. Niezadowoleni tylko  
nacionaliści.

O pokojowym nastroju świata i zasłu-  
gach Ligi Narodów mówił p. Briand w  
Senacie. Linja francuskiej polityki zosta-  
ła jednogłośnie zaaprobowana.

Naprawą finansów Francji chlubił się  
słusznie p. Poincaré w Izbie deputowa-  
nych. Okres „szaleństwa finansowego”  
przemknął, a budżet zamyka się nadwyż-  
ką miljarde franków.

Budżet wojskowy Stanów Zjednoczo-  
nych wynosi okragło 400 milionów dola-  
rów. Zasada „para bellum” okazuje się  
kosztowna.

Traktat o nieużywaniu w wojnie łodzi  
podwodnych gotowe są zawrzeć Stany  
Zjednoczone z wszystkimi państwami  
świata. Niestety, w pewnych wypadkach  
bywa to tylko „świsstek papieru”.

„Precz z imperjalizmem angielskim!”  
wołają hindusi, urządzając burzliwe de-  
monstracje przeciw przyjazdowi angielskiej  
Komisji Konstytucyjnej.

Przywileje dla cudzoziemców znosi  
rząd pekiński. Przestępcy będą sądzeni  
przez krajowe sądy. Na razie ukrócono  
prawa Hiszpanji i Belgji, które oczywi-  
ście protestują.





P. Z. Neringowa ustanowiła swe nowe rekordy na 500 i na 1000 metrów

### „Pożoga” w przekładzie angielskim

W związku z pracą sekcji przekładów Pen-Clubu powstało w Londynie, z inicjatywy pracownika naszego w stolicy Anglii poselstwa, p. Bauera Czarnomskiego, wydawnictwo „Select Library of Polish Authors”, które na pierwszy ogień wystawiło na angielskie półki księgarskie „Pożogę” Kossak-Szczuckiej. Tytuł książki w przekładzie brzmi: *The blaze*, a dał go swego czasu Conrad, który zachwycił się tem pierwszym dziełem utalentowanej autorki i miał „Pożogę” zawsze na swoim biurku. Krytyka angielska przyjęła książkę bardzo życzliwie, a oto co pisze, między innymi, *Manchester Guardian*, pismo nam zasadniczo nieprzychylnie:

„Książka ta ma poważne znaczenie, jest bowiem pierwsza z serii przekładów dzieł z literatury polskiej, u nas prawie zupełnie nieznaną. „*The Blaze*” zainteresuje niewątpliwie każdego, gdyż są to wspomnienia damy polskiej, która opisuje okropne przejścia na Wołyniu po rewolucji rosyjskiej, zaś jako dokument polityczny i społeczny warta jest stokrotnie więcej, niż książki podróżnicze. Opis postępowania chłopów podczas okupacji niemieckiej, ukraińskich rządów Petlury i zwycięstwa komunistów jest tem wiarygodniejszy, że wyszedł z pod pióra Polki, która znosiła kolejno srogię prześladowania od każdego z tych wrogów. Nade wszystko książka jest świetna pod

względem literackim. Niektóre opisy, jak pogrom żydów przez Ukraińców, losy koni, bohaterska karjera partyzanta Jaworskiego albo ostatni pobyt autorki w jej spustoszonej domu, będą dla czytelnika niezapomniane. Jeżeli wszystkie dzieła z serii wspomnianego wydawnictwa będą równie dobrze tłumaczone, jak książka, o której mowa, przekłady te wzbogacą bardzo dodatnio dobytek naszej literatury zagranicznej”.

P. Czarnomski zaopatrzył w krótką objaśniającą przedmowę przekład „Pożogi” którego jest, zdaje się, niepodpisany autorem.

Nakładem tego samego wydawnictwa „Select Library of Polish Authors” ukażą się niebawem „Krasnoludki” Konopnickiej, „Soból i Panna” Weyssenhoffa, „Wierna rzeka” i nowele Żeromskiego, „Faraon” Prusa i t. d. Nad wyborem dzieł i tłumaczy stale czuwa sekcja przekładów Penklubu, działając w porozumieniu z wydawnictwem angielskim.

brn.

### ZE SPORTU



W niedzielę 5 lutego odbyły się zawody o mistrzostwo Warszawy w jeździe na łyżwach. Mistrzostwo Warszawy zdobył p. Majewski z W. T. C.



### Kostjomy „ELIDA”



Kostjomy Elida noszone z wielkim powodzeniem na rozmaitych zabawach karnawałowych w największych stolicach Europy

Fot. „Ord'a Benda.”

### Młode Matki!

ZAPYTAJCIE SWOJE MATKI,  
A DOWIEDZIE SIE, IŻ JEDYNIE

PUDER,  
MYDŁO  
I KREM

### „BEBE SZOFMANA”

POWSZECHNIE OD LAT 25 UŻYWANE,  
LECZĄ RADYKALNIE WSZELKIE DO-  
LEGŁIWOŚCI SKÓRY U DZIECI.

Marka ochronna



### Oryginalne DYWANY PERSKIE

do nabycia po cenach niskich w firmie Dom Handlowy

Dicran PAPAŻIAN i S-ka

Sp. z o. o.

UL. KREDYTOWA 16. TEL. 77-43

### KONJAKI

V. S. Q. P.

Jubileuszowy - Rés. Spéciale  
Winok Médicinal - Wintaki mieszane

# Winkelhausen

### WÓDKI - LIKIERY

Starwa - Starwa - Żytniówka  
Banan - Morełówka  
Grand Cardinal - Cordial Médoc

ZAKŁADY PRZEMYSŁOWE WINKELHAUSEN, TOW. AKC. STAROGARD - POMORZE, ZAŁ. 1846.



## Od Administracji

W miesiącu styczniu prenumeratorzy „Świata“, którzy opłacili dodatkowo zł. 2 i gr. 50 otrzymali, jako premium książkowe, znakomitą powieść H. Balzaka pt. „Kuzyn Pons“, w bezkonkurencyjnym przekładzie Tadeusza Boy'a Żeleńskiego. Powieść ta zawiera 412 stron druku. Nowi prenumeratorzy mogą również otrzymać to premium po wpłaceniu zł. 2 i gr. 50. Za miesiąc luty r. b. nasi abonenci otrzymają z Balzakovskiego cyklu powieść p. t. „Kobieta trzydziestoletnia“. Jest to jedno z arcydzieł twórcy „Komedji ludzkiej“. Należy więc spieszyć się z nadesłaniem pieniędzy, gdyż liczba egzemplarzy niebawem będzie ograniczona.

### SPROSTOWANIE

W ogłoszeniu Firmy Optyk Jan Berent Marszałkowska 87 (I piętro) w Nr 4 „Świata“ z d. 28 z. m. na str. 24 zaszła pomyłka, a mianowicie wydrukowano słowo **w równomiernym** polu widzenia

winno zaś być **SZKŁA**



### Z dziedziny kosmetyki lekarskiej

Wilgotność rąk zazwyczaj uzależniona bywa od całego szeregu cierpień o charakterze ogólnym, jak np. anemii, neurastenii, niedomogi tarczycy lub innych gruczołów, artretyzmu i t. p. To też leczenie powinno być skierowane przede wszystkim w kierunku cierpienia przyczynowego. Co zaś do leczenia miejscowego, to na pierwszym planie stoi tu mycie rąk mydłem formalinowym, siarkowem 2 proc., bornem 5 proc., boraksowem 5 proc. lub resorcynowem 5 proc. (Malinowskiego). Do wody dobrze jest dodawać nieco sody lub lepiej „Mollette“. Z płynów należało by stosować: „wody kolońskiej 100,0; Nalewki benzoesowej 5,0; nalewki belladonny 6,0; Fenolu 0,5 i wody pomarańczowej 60,0“. Gaston stosuje na noc moczenie rąk w: „wody 1000,0, Alunu 50,0 i nalewki benzoesowej 25,0“. Niektórzy radzą wysypywać na noc rąka-

wiczki pudrem salicylowym, tannoformem lub taniną. Staffe radzi wycieranie rąk ręcznikiem zmoczonym w: „wody kolońskiej 70,0; nalewki belladonny 15,0“ poczem pudrowanie Azotanem bizmutu w równych częściach z tlenkiem cynku. Z gotowych preparatów wymienić mogę płyn i puder „Eureka“. Na zakończenie wspomnę o moczeniu rąk w roztworze formaliny, co uskutecznia się w ten sposób, że bierze się łyżkę stołową formolu na 4 szklanki wody gorącej i moczy się ręce w ciągu 10 minut. Zabieg ten stosować jest najlepiej na noc.

Dr. med. — Feliks Rostkowski

### SPROSTOWANIE

W Nr. 5 „Świata“ z d. 4 b. m. na str. 25 (pierwszy wiersz od dołu) omyłkowo pomieszczono „Saletra chilijska 2 kg.“; winno być „Saletra chilijska 3 kg.“.



### JAK ZACHOWAĆ ŚWIEŻĄ I PIĘKNĄ CERĘ?

Każda z Pań pragnęłaby zawsze wyglądać świeżo i pięknie. Niema w tym nic dziwnego, że Panie starają się powstrzymać okrutne działanie czasu. Używają w tym celu różnych środków. Musimy wszakże przestrzec Was Nadobne Czytelniczki, „żebyście były bardzo ostrożne w swoich zabiegach odmładzających. Tylko poważna fabryka potrafi dać Wam artykuł wypróbowany i naprawdę

skuteczny ponieważ wytwarza go pod kierunkiem najlepszych lekarzy specjalistów. Takim właśnie środkiem jest „**PŁYN-SIMI**”

Berlińskiego Laboratorium Kosmetycznego.

„**PŁYN-SIMI**” usuwa zużyte soki z naszej skóry i powoduje wzmożony dopływ świeżej limfy z głębszych tkanek podskórnych, przez co skóra nasza bardzo szybko ożywia się i odmładza, giną wszelkie fałdy, zmarszczki, węgry itp. „**PŁYN-SIMI**” można polecić, jako preparat, istotnie, pierwszorzędny, wartości

Dr. R.

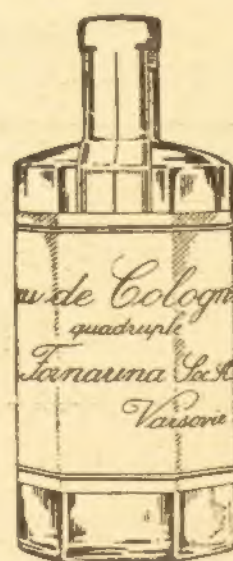
DO NABYCIA W SKŁADACH APTECZNYCH I PERFUMERJACH  
GENERALNE PRZEDSTAWICIELSTWO NA POLSKĘ w. m. GDAŃSK  
ZAKŁ. PRZEM. „**PROTON**” UL. ŚW.  
CHEM.-FARM. STANISŁAWA 9-11  
TELEFON 203-34

## TAK, JAK CHLEB

woda kolońska jest nie zbytkiem, lecz przedmiotem codziennej potrzeby i niezbędnym czynnikiem higieny ciała. Stąd konieczność używania li tylko produktu pod każdym względem pierwszorzędnego, jakim jest

woda kolońska  
poczwórna

*Farnarina*  
ze złotą  
etykieta



7 wielkości flakonów, 1 gatunek — najlepszy